

BIBLIOTECZKA UNIwersYTETÓw LUDOWYCH I MŁODZIEŻY SZKOLNEJ — 174

WILIAM SZEKSPIR.

KRÓL LIR

TRAGEDYA W 5 AKTACH

PRZEKŁAD

J. PASZKOWSKIEGO.



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
NEW YORK — THE POLISH BOOK IMPORT. CO, INC.

Cena kop. 20, hal. 48.

BIBLIOTECZKA UNIWERSYTETÓW LUDOWYCH.

	hal.	kop.
16. Galle H. Czytanki polskie I.	80	30
17. — Czytanki polskie II.	80	30
18. Reymont Wł. Śąd	16	6
19. — W porębie. — Przy robocie	20	8
20. — Tomek Baran	32	12
21. — Pewnego dnia	20	8
22. Junosza Klemens. Froim — Zajac	20	8
23. Kraszewski J. I. Łokietek na łożu śmierci. — Tata- rzy na weselu	16	6
24. — Upiór	26	10
25. — Z dziennika starego dziada	26	10
26. — Profesor Milczek. — Rejent Wątróbka	16	6
27. — W oknie. — Nauczyciele sieroty	20	8
28. Rzewuski H. Kazanie konfederackie. — Książd Marek	16	6
29. — Tadeusz Reytan (z Pam. Soplicy)	16	6
30. — Sawa. Pan Borowski (z Pam. Soplicy)	26	10
31. Sienkiewicz H. Pieszo przez Czarny Łąd (Listy z Afryki) I.	26	10
32. — Pieszo przez Czarny Łąd (Listy z Afryki) II.	16	10
33. — Na Oceanie Atlantyckim (Listy z podróży)	20	8
34. — Z puszczy amerykańskiej	20	8
35. Prus B. Kamizelka. — Michałko	20	8
36. Dygasiński A. W puszczy	32	12
37. — Wilk, psy i ludzie	26	10
38. Junosza Klemens. Wilki. — Wesolego	20	8
39. Tetmajer K. Książd Piotr	16	6
40. Gomułicki W. Chałat	20	8
41. Zeromski St. Zmierzch. — Cokolwiek się zdarzy	16	6
42. Skarbek F. Łukasz Stempel	16	6
43. — Mundur. — Jaszczułt	16	6
44. — Dwie siostry. — Przewoźnik	16	6
45. Wilkoński A. Moja mówka pogrzebowa. — Przypadek	16	6
46. — Gorzkie wspomnienia słodkiej nadziei	20	8
47. — Wspomnienia szkolne. — Pomyłka. — Ułamek	16	6
48. Zmichowska N. Prządki. — Ze wspomnień dziecin- nego wieku	20	8
49. Sienkiewicz H. Z puszczy Białowieskiej	16	6
50. — Niewola tatarska	20	8
51. — Pójdźmy za Nim!	20	8
52. Łętowski Jul. Wawrzyńcowie	20	8
53. Sienkiewicz H. Za chlebem	50	20
54. Sienkiewicz H. Z pamiętnika nauczyciela poznańsk.	26	10
55. — Sielanka. — Legenda żeglarska	16	6
56. Siemiński L. Portret króla Jana. Posłowie siewierscy	16	6
57. — Wieczór u gen. Kopcia. — Wiązanka konwalii	16	6
58. Sienkiewicz H. Orso. — Sachem	20	8
59. Gomułicki W. Oracz. — Filemon i Baucis. — Nie- przespany sen pani Maciejowej	16	8
60. Kosiakiewicz W. Sarna. — Literatura mojej żony. — Nabożeństwo majowe	20	8
61. Sewer. Łusia Burlak	26	10
62. — Wiosna	26	10
63. — Dola	20	8
64. Dygasiński A. Co się dzieje w gniazdach	20	8

BIBLIOTECZKA UNIWERSYTETÓW LUDOWYCH I MŁODZIEŻY SZKOLNEJ — 174

WILIAM SZEKSPIR.

KRÓL LIR

TRAGEDYA W 5 AKTACH

PRZEKŁAD

J. PASZKOWSKIEGO.



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
 WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ
 KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
 NEW YORK — THE POLISH BOOK IMPORT. CO, INC.

Wielki 4

Jelenc

Marciszewska

Białystok

Nowopolon

Ch. Ch. Ch.



824.141-2

S CZYTELNIĄ KSIĄŻEK



74

KRÓL LIR

PRZEKŁAD

J. PASZKOWSKIEGO.

Dot
6/12 481

OSOBY:

Lir, król brytański.

Król francuski.

Książę burgundzki.

Książę Kornwalii.

Książę Albanii.

Hrabia Kent.

Hrabia Gloster.

Edgar, syn Glostera.

Edmund, naturalny syn tegoż.

Kuran, dworzanin.

Doktor.

Błazen.

Oswald, marszałek dworu Goneryli.

Herold.

Starzec, dzierżawca w hrabstwie Glostera.

Goneryla

Regana

Kordelia

} córki Lira.

Rycerze z orszaku Lira, słudzy księcia Kornwalii, dworzanie, rotmistrze, żołnierze, gońcy i inne osoby.

Rzecz dzieje się w Brytanii, w XXXII wieku świata.

KRÓL LIR.

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

Sala główna w pałacu Lira.

(*Kent, Gloster i Edmund*).

Kent. Myślałem, że król bardziej sprzyja albańskiemu niż kornwalskiemu księciu.

Gloster. Tak się nam zawsze zdawało, ale teraz, przy rozdziale królestwa, nie widać wcale, żeby który z tych dwóch książąt w większej był łasce u niego, bo równość względów tak jest ściśle odważoną, że najpilniejsze badanie nie może dociec, która z dwóch połowic wyżej stoi.

Kent. Czy to wasz syn, milordzie?

Gloster. Nie inaczej; ale ja mam jeszcze drugiego syna, o kilka lat starszego. Edmundzie, czy znasz tego szanownego pana?

Edmund. Nie, milordzie.

Gloster. Jest to milord Kent; pamiętaj o nim, jako o moim zacnym przyjacielu.

Edmund. Moje usługi są na jego rozkazy.

Kent. Naprzód cię już kocham, Edmundzie, i życzliwość moja, spodziewam się, wzrośnie z bliższym poznaniem.

Edmund. Starać się będę to usprawiedliwić.

Gloster. Był za granicą przez lat dziewięć i jeszcze się tam uda. — Król nadchodzi.

(*Odgłos trąb. Król Lir, książę Kornwalii, książę Albanii, Goneryla, Regana i Kordelia wchodzi z orszakiem*).

Król Lir. Poproś tu panów Francyi i Burgundy, Glosterze.

Gloster. Śpieszę, Miłościwy Królu.
(*Wychodzi z Edmundem*).

Król Lir. Tymczasem damy wam poznać nasz zamiar.

Przynieście mapę. — Wiedźcie, żeśmy nasze Królestwo na trzy części podzielili.

I stałem naszym jest postanowieniem, Wyzwolić naszą starość z trosk i trudów,

Na młodsze kładąc je barki, a sami

Spokojnie odtąd, wolni od ciężaru,

Śmierci wyglądać. — Synu nasz z Kornwalii,

I ty, naszemu sercu niemniej drogi,

Synu Albanii, dla zapobieżenia

Sporom w przyszłości mogącym się zrodzić,

Przedsięwzięliśmy niezłomnie już teraz

Ogłosić posag każdej z naszych córek.

Panowie Francyi i Burgundy, zacni

Współzawodnicy do miłości naszej

Najmłodszej córki, od dawna już czynią

Na naszym dworze zalotne zabiegi

I na odpowiedź stanowczą czekają. —

Zanim atoli rzekniemy się rządów,

Królewskich dzierżaw i kłopotów władzy,

Pragniemy wiedzieć przedewszystkiem, która

Z was, córki moje, najbardziej nas kocha,

Abyśmy w miarę tego oznaczyli

Najrozciąglejszy dział naszych dobrodziejstw.

Ty, Gonerylo, jako pierworodna,

Mów najprzód.

Goneryla. Ojciec mój, kocham cię bardziej,

Niżeli słowa mogą wypowiedzieć;

Więcej niż światło, powietrze i wolność;

Nad wszystko, co jest szacownem i rzadkiem;

Nie mniej jak życie, zdrowie, piękność, honor;

Jak kiedykolwiek dziecko mogło kochać

I kiedykolwiek ojciec był kochanym.

Dech mój za krótki, i mowa za słabą,

Do wyrażenia siły mej miłości.

Kordelia (*do siebie*). Cóż ja uczynić mam? Kochać i milczeć.

Król Lir. Cały ten obszar od tej do tej linii,

Bogaty w grunta i cieniste lasy,

W obfite rzeki i rozległe łąki.

Goneryla + Książę
albański

Oddaję w wieczne posiadanie tobie
I twemu z księciem albańskim potomstwu. —
Cóż powie nasza druga córka, nasza
Droga Regana, Kornwala małżonka?

Regana. Jam z tego kruszcu, co i moja siostra,
I w sile uczuć jej nie ustępuję.
W szczerości serca znajduję, że ona
Całą mą miłość zawarła w swych słowach;
Tylko za skąpo, bo ja się być mienię
Nieprzyjaciółką wszelkich innych uciech,
Najżywiej zmysły mogących pociągać.
I szczęście moje zakładam jedynie
Na twojej miłości, ojczyźnie i panie!

Kordelia (do siebie). Biedna Kordelio! jakże ty się wydasz?
Nie biednam jednak, bo w sercu mam pewność,
Że moja miłość bogatsza, niż słowa.

Król Lir. Tobie i twoim przypada w dziedzictwo,
Na wieczne czasy, ta druga dzielnica,
Nie mniejsza, ani pod względem przestrzeni,
Ani wartości, ani przyjemności
Od tej, jakąśmy dali Goneryli. —
A ty że, nasza pociecho, ostatnia,
Jako najmłodsza, nie jako najniższa
W miłości naszej, o którą się wino
Francyi dobija i mleko Burgundyi,
Cóż ty nam powiesz, gwoli otrzymaniu
Działu większego jeszcze, niż twoje siostry?

Kordelia. Nic.

Król Lir. Nic?

Kordelia. Nic, Panie.

Król Lir. Jakto? nic? Z niczego
Może być tylko nic. Odpowiedz jeszcze.

Kordelia. Nieszczęsnaż ja! nie umiem uczuć moich
Przenosić z serca w usta; ja miłuję
Waszą Królewską Mość tak, jak mi każe
Mój obowiązek, ni mniej ani więcej.

Król Lir. Jakto? Kordelio! Daj inną odpowiedź,
Inaczej los swój zniweczysz.

Kordelia. O, Panie!
Tyś mi dał życie, wychował mnie, kochał,
I ja odpłacam ci te dobrodziejstwa,
Tak jak powinnam: jestem ci posłuszna,
Czczę cię i kocham. Na co moim siostrom

Mieć mężów, skoro mówią, że wyłącznie
Kochają ciebie? Gdy ja pójdę za męża,
Ten, co odbierze z mych rąk zakład wiary,
Otrzyma także połowę mych uczuć,
Połowę starań mych i obowiązków.
Nigdybym w związki małżeńskie nie weszła,
To pewna, gdybym tak jak moje siostry
Ojca jedynie kochała.

Król Lir. Kordelio,
Czy ty to z serca mówisz?

Kordelia. Tak jest, Panie.

Król Lir. Tak młoda i tak nieczuła!

Kordelia. Tak młoda
I szczerą, Panie.

Król Lir. Dobrze więc, niech szczerą,
Którą się chlubisz, stanie ci za wiano;
Gdyż na ten święty, promienny krąg słońca,
Na misterye Hekaty i nocy,
Na tajemnicze wpływy wszelkich planet,
Przez które istniem i przestajem istnieć,
Zrzekam się odtąd wszelkiej pieczy ojca,
Wszelkiej łączności i związku krwi z tobą.
Bądź od tej chwili mnie i memu sercu
Obcą na zawsze! Barbarzyński Scyta,
Nawet ów dziki, co żre własne dzieci,
By głód nasycił, równie będzie blizki
Mojemu sercu, równie znajdzie względy
I pomoc, jak ty, niegdyś moje dziecko.

Kent. Najmiłościwszy mój Królu!

Król Lir. Milcz, Kencie,

Nie wchodź pomiędzy smoka i gniew jego.
Jam ją najbardziej kochał, przy jej boku
Miałem nadzieję znaleźć błogi spokój
Na stare lata. — (Do Kordelii). Precz z mego oblicza!
Obym tak w grobie miał spokojność, jak cię
Nieodwołalnie w tej chwili odtrącam
Od ojcowskiego mego serca. — Hola!
Wezwać tu panów Francyi i Burgundyi! —
Kornwalu i ty Albanie, rozdzielcie
Pomiędzy siebie tę część pozostałą
I do posagu swych żon ją przyłączcie.
Niech ją zaślubi duch pychy, którego
Zwie duchem prawdy! Was dwóch przyoblekam

W najwyższą władzę, moc i przywileje
Majestatowi służące. — Co do nas,
Przy zachowaniu sobie stu rycerzy,
Na waszym żołdzie być mających, u was
Przebywać będziem koleją co miesiąc,
Warujem sobie tylko tytuł króla
I przynależne nam względy; ster rządu,
Intraty, wszelkie atrybucye władzy
Do was należą, kochani synowie;
Tym końcem między siebie rozpołowcie
To złote godło.

Kent. Wielkomyślny Lirze,
Któregom zawsze wielbił, jako króla,
Kochał, jak ojca, słuchał, jako pana,
I jak patrona w modłach mych wymieniał...

Król Lir. Łuk naciągnięty, chroń się przed pociskiem.

Kent. Niech padnie, choćby groń ugrzął mi w sercu!
Niechaj Kent będzie grubianinem, kiedy
Lir jest szaleńcem! Co chcesz czynić, starcze?
Czy myślisz, że się obowiązek złęknie
Otworzyć usta, kiedy się potęga
Gnie ku pochlebstwu? Honor nakazuje
Otwartość, kiedy majestat drwi głową.
Cofnij twe słowo i lepszym rozmysłem
Sprostuj ten zdrożny pośpiech. Gardło moje
Dam na porękę mego twierdzenia,
Że cię najmłodsza córka mniej nie kocha;
Ni braknie uczuć tym, których głos słaby
Nie wtórzy próżnym dźwiękiem.

Król Lir. Przestań, Kencie,
Jeśli ci życie miłe.

Kent. Życie moje
Zawszem uważał tylko jako zakład
Do postawienia przeciw twoim wrogom;
Nie lękam się je stracić, skoro idzie
O twoje dobro.

Król Lir. Usuń się z mych oczu!

Kent. Patrz lepiej, Lirze, i daj mi pozostać
Rzetelnym oczu twoich drogowskazem.

Król Lir. Na Apollina!...

Kent. Apollo jest świadkiem,
Że bogów swoich wzywasz nadaremnie.

Król Lir (przykładając rękę do miecza). Ha! nikczemniku!
[renegacie!

Ks. Albanii i Kornwalii. Przebacz,
Łaskawy Panie.

Kent. Uczyń, coś zamierzył:
Zabij lekarza, a pogłaszcz swą słabość.
Odwołaj swoją darowiznę, albo,
Dopóki w piersiach nie zbraknie mi głosu,
Dopóty krzyżeć będę, że popełniasz
Niesprawiedliwość.

Król Lir. Słuchaj, buntowniku!
W imię lenniczej uległości, słuchaj!
Ponieważ chciałeś nas do tego skłonić,
Abyśmy dane raz złamali słowo
(Co się nam jeszcze nie zdarzyło nigdy),
I poważyleś się, z zuchwałą dumą,
Stanąc pomiędzy naszym wyrzeczeniem
A naszą władzą (czego ani nasza
Powaga, ani nasza osobistość
Ścierpieć nie mogą), przemawiam teraz
Jako pan: — odbierz to, na coś zasłużył.
Pięć dni ci dajem do odpowiedniego
Zaopatrzenia się w to, co wypada,
Aby potrzebom życia stawić czoło;
Szóstego precz się wyniesiesz z królestwa;
A jeśli twoje. wyklęte oblicze
Dnia dziesiątego jeszcze się ukaże
Na naszej ziemi, śmiercią to przypłacisz.
Precz! na Jowisza! nie cofnę już tego.

Kent. Bądźże zdrow, królu; przy takiej twej zamianie,
Wolność gdzieindziej, a tu jest wygnanie.

(Do Kordelii).

Bogowie z tobą, dziewico, co zdrowo
Myślisz i w trafne myśl oblekasz słowo.

(Do Goneryli i Regany).

A z waszych długich przemów niech wypłynie
Niepłonny skutek i sprawdzi je w czynie. —

Tem was Kent żegna, w smutnej konieczności
Idąc w kraj nowy ponieść stare kości. (Wychodzi).

(Gloster wchodzi z królem francuskim, księciem burgundzkim
i ich orszakiem).

Gloster. Oto panowie Burgundyi i Francyi,
Dostojny władco.

Król Lir. Szlachetny Burgundzie,
Do ciebie mowę nasamprzód zwracamy,
Coś się z tym królem współubiegać raczył
O naszą córkę; jakiego, co najmniej,
Żadasz z jej ręką posagu, byś wytrwał
W zamiarach względem niej?

Ks. burgundzki. Potężny Panie,
Dosyć mi na tem, co Wasza Dostojność
Już przeznaczyła; wysokość zaś tego
Nie będzie, tuszę, niżoną.

Król Lir. I owszem.
Póki nam ona była drogą, póty
Szacowaliśmy ją w tej cenie; teraz
Wartość jej spadła. Pisz ją, mości książę,
Tak jak ją widzisz. Jeżeli się Waszej
Książęcej Mości coś w tej gładkiej dziewczce,
Lub ona cała, bez niczego więcej,
Krom złorzeczenia naszego, podoba,
To ją weź; możesz ją nazywać swoją.

Ks. burgundzki. Nie wiem, co na to odpowiedzieć, Panie.

Król Lir. Chceszże ją z temi upośledzeniami,
Ogołoconą z mienia i przyjaciół,
Uposażoną li naszym przekleństwem,
Wziąć lub porzucić?

Ks. burgundzki. Przy takich warunkach
Najlepsza, Panie, chęć się nie ostoi.

Król Lir. Odstąp więc od niej, bo na tę potęgę,
Co mię stworzyła, klnę się, żem wymienił
Wszystko, co jej się dostanie w podziale.

(Do króla francuskiego).

Co się was tyczy, przedostojny królu,
Nie lekceważę tak Miłości Waszej,
Abym Was łączył z tem, co nienawidzę;
Skierujcie, proszę, do lepszego celu
Swoje życzenia, a nie do tej dziewczki,
Którą natura rumieni się uznać
Za swoje dzieło.

Król francuski. To rzecz nie do wiary,
Żeby osoba, co była dotychczas
Przedmiotem Waszych nieustannych pochwał,
Waszym klejnotem, balsamem starości,
Najlepszą w Waszem uznaniu, najdroższą
Waszemu sercu, nagle, w mgnieniu oka,

Mogła popełnić coś tak występnego,
Co ją wyzuło z wszelkich łask. Jej wina
Musi zaiste być potwornie wielką,
Albo poprzednia Wasza czułość dla niej
Była naganną; do wierzenia wszakże
W taką jej zmianę rozum mój, bez cudu,
Nigdy nie zdoła mię skłonić.

Kordelia (do Lira). O, Panie,
Jeżelim winna, przeto, że mój język
Nie ma giętkości dosyć i biegłości
W mówieniu, czego nie myślę (co bowiem
Serce mi radzi, to nie mówiąc czynię),
Niechże choć Wasza Królewska Mość powie,
Że to nie żadna zbrodnia, nie morderstwo,
Nie żadna podłość, nie żaden bezwstydný
Postępek, ani krok zniesławiający
Waszej mię łaski i względów pozbawił,
Lecz brak, który mię tem bogatszą czyni,
Brak umiających się przymilać oczu
I tego daru wymowy, którego,
Wolę, że nie mam, lubo przez to właśnie
Popadłam w Waszą niełaskę.

Król Lir. Bogdajbyś
Nie żyła lepiej, niżbym się był z ciebie
Takiego braku pociechy doczekał!

Król francuski. Nic więcej nad to? Całem przewinieniem
Jest tu więc tylko owa przyrodzona
Powolność, która często nie pozwala
Z tem się wywnętrzyć, do spełnienia czego
Jesteśmy w gruncie gotowi?

(Do księcia burgundzkiego).

Cóż teraz
Zamierzasz czynić, mości książę? Miłość
Nie jest miłością, jeśli idzie w parze
Z względami, które są poza obrębem
Jej celu. Chceszli ją pojąć? Jej posag
Jest w niej.

Ks. burgundzki. Dostojny Lirze, daj mi tylko
Tę cząstkę, którą sam wprzód wyznaczyłeś,
A wraz powiodę Kordelię za rękę,
Jako burgundzką księżnę.

Król Lir. Nie! przysięgłem:
To rzecz skończona.

Ks. burgundzki, miedzie z rony

Ks. burgundzki. Boleję więc, Pani,
Żeś razem z ojcem utraciła męża.

Król francuski. Piękna Kordelio, ty w ubóstwie swoim
Bogata, wzniosła w swoim poniżeniu,
Najukochańsza, będąc pogardzoną.
Z zapalem biorę w posiadanie ciebie
I twoje cnoty; niech mi będzie wolno
To, co zostało odrzuconem, podnieść.
Rzecz dziwna, że ich zimna obojętność
Tem bardziej wzmaga cześć mą i namiętność. —
Królu, ta, którąś odsądził od wiana,
Jest teraz Francji królową, jej pana
Wszzechwładną panią. Napróżnoby który
Z książąt burgundzkiej ziemi zbożoplennej
Zaprzagnął teraz tej brytańskiej córy,
Tak nie cenionej, a tak drogocennej. —
Pożegnaj, luba, tych okrutnych: inny,
Lepszy kraj znajdziesz, tracąc swój rodzinny.

Król Lir. Wolność ją zabrać, Francya niech ci służy,
Bo my jej znać nie chcemy, ani dłużej
Cierpieć przy sobie. Otwarta wam droga
Zdała od serca naszego i proga.
Pójdź, cny Burgundzie.

(Odgłos tręb. Król Lir, ks. burgundzki, ks. Albanii i Kornwalii wychodzą, za nimi Gloster i orszak).

Król francuski. Pożegnaj swe siostry.

Kordelia. Klejnoty ojca naszego, Kordelia
Ze łzami żegna was. *(Do siebie).* Znam ja was dobrze,
Lecz, jako siostra, nie chcę po nazwisku
Wymieniać waszych przywar. *(Głośno).* Mieście pieczę
O ojcu. Resztki jego dni szanownych
Oddaję pod straż waszych serc wymownych. *(Do siebie).*
Gdybym mu jednak jak wprzód była drogą,
Pod bezpieczniejszą zostałaby załogą. *(Głośno).*
Bywajcie zdrowe!

Goneryla. Obowiązków córek
Nie ucz nas; my je znamy.

Regana. Twoją rzeczą
Jest przypodobać się twojemu panu,
Coć przyjął z ręki losu jak jałmużnę.
Skapiłaś posłuszeństwa, słusznie tedy
Skapej się za to doczekałaś schedy.

Kordelia. Czas wyda na jaw, co kryje obłuda:

Kto zły, ten nigdy długo cnót nie uda;
Życzę wam szczęścia.

Król francuski. Pójdź, moja Kordelio.

(Wychodzi z Kordelią i orszakiem swoim).

Goneryla. Nie o małej rzeczy mam z tobą do pomówienia,
siostro: z blizka się ona tyczy nas obudwóch. Ojciec
nasz zamierza, jak się zdaje, dziś wieczorem wyjechać.

Regana. Nie inaczej i to do ciebie; na drugi miesiąc zjedzie do nas.

Goneryla. Widzisz sama, jak się stał kapryśnym na starość;
niemałośmy mieli sposobności do przekonania się o tem:
on zawsze kochał naszą siostrę najbardziej, a z jak nedorzeczną surowością ją odepchnął,
byłyśmy tego świadkami.

Regana. To ułomność wieku; ale on nigdy nie wiedział dobrze, czego chce.

Goneryla. Przy całej sile i czerstwości władz był popędliwym,
trzeba nam więc być przygotowanymi na to, że będziemy musiały
znosić nie tylko złe z dawna zakorzenionych przywyknień,
ale i wybryki dziwactw, jakie zgryźliwa i tetryczna starość z sobą przywodzi.

Regana. W przystępie jego widzi-mi-się łatwo nam może przyjść na taką dołę,
jak wygnanemu Kentowi.

Goneryla. Podobnie przyjemnych pożegnań, jak przy rozstaniu się z królem francuskim,
będziemy miały więcej; trzymajmyż się za ręce. Jeżeli nasz ojciec zechce się
utrzymywać przy powadze, z takim jak dotąd usposobieniem,
to owo ustąpienie nam władzy obróci się na naszą niekorzyść.

Regana. Weźmy to pod bliższą rozwagę.

Goneryla. Trzeba nam coś przedsięwziąć, i to póki żelazo gorące.
(Wychodzą).

SCENA II.

W zamku hrabiego Glostera.

(Wchodzi Edmund z listem w ręku).

Edmund. Naturo, tyś mi bóstwem, twemu tylko Ulegam prawu.
Dlaczegoż mam znosić Plagę zwyczaju i dać się potulnie Fantazyi ludów wydziedziczać, przeto

Żem się o marnych dwanaście miesięcy
Albo czternaście później, niż brat jakiś,
Zjawił na świecie? Cóż z tego, żem bękart?
Dlaczegoż mię to tak ma upośledzać,
Gdy moje członki są zarówno krzepkie,
Umysł i rysy zarówno szlachetne,
Jak u prawego jejmości potomstwa?
Za cóż kłaść na nas piętno nieprawości,
Zakał bękarctwa, na nas, co po części
W rzeskiej natury ukradkowym akcie
Otrzymaliśmy więcej treści, więcej
Ognia i życia, niż tłum niedołęgów,
Z prawego łoża idących? Dlatego
Mienie twe, prawo spłodzony Edgarze,
Stanie się mojem. Równie drogim ojcu
Jest bękart Edmund, jak prawy potomek.
Prawy potomek! — piękne słowo. Czekał,
Prawy potomku: jeżeli mój pomysł
Uda się i ten list wyda swój owoc,
Nieprawość pośle prawość do stu czartów. —
Ojczy, bogowie wspierajcie bękartów!

(Wchodzi Gloster).

Gloster. Kent na wygnanie poszedł; król francuski
Z gniewem wyjechał; nasz tej nocy także
Wyniósł się z swego zamku, zdawszy rządy,
Ograniczony tylko do dochodów!
I wszystko to się stało w mgnieniu oka! —
Cóż tam, Edmundzie? Jakie masz nowiny?

Edmund. Żadnych, panie.

(Chowa list).

Gloster. Dlaczego z takim pośpiechem ten list chowasz?

Edmund. Nie wiem, panie, nic nowego.

Gloster. Co to za list czytałeś?

Edmund. Ej, to nic.

Gloster. To nic? Cóż znaczyła ta straszna skwapliwość,
z jaką go wsadziłeś do kieszeni? Właściwie nic nie po-
trzebuje tak się ukrywać. Pokażno. Jeżeli to nic, obejdę
się bez okularów.

Edmund. Wybacz, milordzie, błagam cię; to list od mego
brata; jeszcze całego nie przeczytałem; o ilem go prze-
rzał jednakże, nie znajduję tego, co w nim jest stoso-
wnem dla ciebie do odczytania.

Gloster. Daj mi ten list zaraz.

Edmund. Żle uczynię, czy go dam, czy zatrzymam. Osnowa
tego listu, o ile ją rozumiałem, jest naganną.

Gloster. Zobaczymy, zobaczymy.

Edmund. Spodziewam się, na usprawiedliwienie mego
brata, że on to pisał jedynie dla wypróbowania mojej
cnoty.

Gloster (czyta). »Ta uległość, to uszanowanie dla wieku
zaprawia gorczyczą najpiękniejsze dni życia naszego; za-
gradza nam drogę do szczęścia, którego w starości
kosztować już nie będziemy mogli. Zaczyna mi się co-
raz nedorzeczniejszym wydawać poddawanie się tej
tyranii starszeństwa, które panuje nie dlatego, że silne,
ale dlatego, że jest cierpiane. Przyjdź do mnie, abyśmy
o tem obszerniej pomówili. Gdyby mój ojciec mógł
zasnąć i spać, dopóki bym go ja nie zbudził, posiadłbyś
połowę jego mienia na zawsze i stałbyś się podwójnie
drogim twojemu bratu, Edgarowi«. — Hm! — to spi-
sek! — »spać, dopóki bym go ja nie zbudził«, — »po-
siadłbyś połowę jego mienia«. — Mój syn, Edgar!
Miałże on rękę zdolną do napisania tego? Serce i głowę
zdolne do powzięcia tej myśli? — Kiedyżeś odebrał to
pismo? Kto ci je przyniósł?

Edmund. Nie przyniesiono mi go, panie, w tem właśnie
mądrość; znalazłem je wrzucone przez okno w moim
pokoju.

Gloster. Jesteś pewny, że to ręka twego brata?

Edmund. Gdyby osnova tego listu była dobrą, mógłbym
przysiąc, że to jego ręka; ale w obecnym razie rad-
bym mózdz myśleć, że tak nie jest.

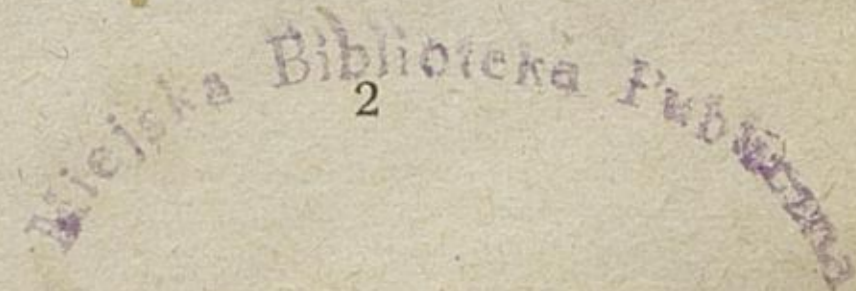
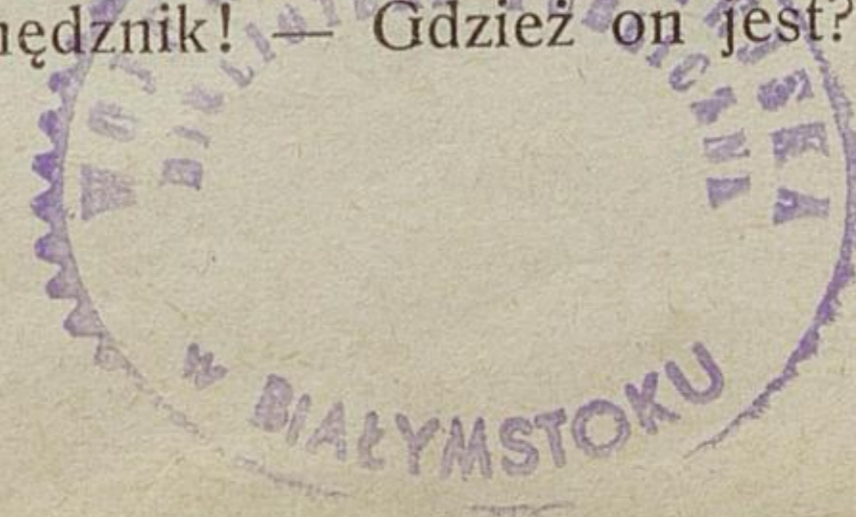
Gloster. Jego to ręka.

Edmund. Jego, w istocie; ale jego serce nie miało, spo-
dziewam się, udziału w tem, co pisał.

Gloster. Nigdyż on jeszcze dotąd nie napomykał ci o tem?

Edmund. Nigdy, panie; alem go nieraz słyszał utrzymu-
jącego, że kiedy syn jest w wieku dojrzałym, a ojciec
na schyłku życia, ojciec powinienby właściwie w ta-
kim razie być na opiece syna, a syn zarządzać ma-
jątkiem.

Gloster. O, nędznik! nędznik! — To samo się pokazuje
z jego listu... — Nędznik ohydny! Wyrodny, przekłety,
bestyalski nędznik! gorszy od bestyi! Idź, mój kochany;
każ go przytrzymać, osadzę go pod rygłem. — Obrzy-
dliwy nędznik! — Gdzież on jest?



Edmund. Nie wiem. Pozwól sobie jednak powiedzieć, mi lordzie, iż gdyby ci się podobało powściągnąć oburzenie, jakim cię mój brat przejmuje, dopóki byś z niego nie wydobył więcej wskazówek co do jego zamiarów, oparłbyś się na pewniejszej zasadzie; gdy tymczasem, występując gwałtownie przeciw niemu, gdybyś się zwłaszcza co do zamiarów jego pomylił, naraziłbyś na wielki uszczerbek własną swoją powagę i odepchnąłbyś ze szczętem jego serce. Gotówem życiem ręczyć, że on to napisał dla doświadczenia moich uczuć ku tobie, panie, a nie w żadnej złej intencji.

Gloster. Czy tak myślisz?

Edmund. Jeżeli Wasza Cześć uzna to za stosowne, postawię cię, panie, w takim miejscu, gdzie będziesz nas słyszał rozmawiających w tym przedmiocie, i tym sposobem własnym uchem nabędziesz przeświadczenia o prawdzie; to zaś stać się może niezwłocznie, tego wieczora.

Gloster. Niepodobna, aby był takim potworem.

Edmund. I nie jest nim też, niezawodnie.

Gloster. Względem ojca, który go tak czule, tak nad miarę kochał! — Przekleństwo! — Edmundzie, pomów z nim; nastęrcz mi sposobność przekonania się o prawdzie; poprowadź tę rzecz według własnego uznania. Gotówbym się ogołocić ze wszystkiego, bylebym stanowczo wiedział, co mam myśleć.

Edmund. Pomówię z nim natychmiast; ułożę tę rzecz, jak się da najlepiej, i uwiadomię cię o tem, panie.

Gloster. Te zaćmienia słońca i księżyca, które niedawnymi czasami przypadły, nie zwiastują nam nic dobrego; niech je nauka przyrody jak chce wyklada, zawsze to pewna, że one w skutkach są przyrody plagą: miłość chłodnie, przyjaźń zawodzi, braterstwo popada w rozdziwienie; w miastach rozruchy, po wsiach zatargi, w pałacach zdrada; węzeł pomiędzy ojcami i dziećmi zostaje przerwany. Widzieliśmy już piękne rzeczy za dni naszych: intrygi, nieczułość, przewrotność, wszelkie burzące czynniki nieładu ścigają nas i niepokoją aż do grobu. — Wybadaj tego nędznika, Edmundzie; nie stracisz na tem; uczyni to jak najskrupulatniej. — I Kent, szlachetny, prawy Kent wygnany! Poczciwość, to jego zbrodnia. — Dziwy! dziwy!

(*Wychodzi.*)

Edmund. Taki to śmieszny zwyczaj tego świata, że kiedy chorujemy na niepomyślność (częstokroć skutkiem własnych nadużyć), obwiniamy o to słońce, księżyc i gwiazdy, jak gdybyśmy byli hultajami z musu, głupcami ze zrządzenia niebios, łotrami, złodziejami i oszustami z nadprzyrodzonego impulsu, pijakami, łgarzami i cudzołożnikami z koniecznej zależności od planetarnego wpływu, — słowem, złymi, na wszelkie kopyto, z poduszczczenia bogów. Co za przedziwny wykręt ze strony rozpustnika, składać swą małpią naturę na karb gwiazd. Mój ojciec porozumiał się z moją matką pod ogonem smoczym, a urodzeniu mojemu świeciła *Ursa major*; zatem poszło, że jestem krewki i do sprośności skłonny. Ba i bardzo! byłbym ci był, jaki jestem, choćby najwstydlwsza z gwiazd firmamentu była mię na świat inaugurowała.

(*Wchodzi Edgar.*)

Otóż i on, jak rozwiązanie w starej komedyi. Przybiore postać melancholika, a wzdychać będę, jak bedlamski żebrak. — O, te zaćmienia! one są zwiastunami tych niezgód! Fa, sol, la, mi!

Edgar. Cóż to, bracie Edmundzie? W jakichżeś głębokich pograżony dumaniach!

Edmund. Rozmyślam, bracie, nad przepowiednią, którą świeżo w tych dniach czytałem, jakie będą skutki tych zaćmień.

Edgar. Czy ty się takimi rzeczami zajmujesz?

Edmund. Uprzedzam cię, że następstwa, o których tam pisze, będą bardzo niefortunne, jako to: przeciwny naturze stosunek pomiędzy rodzicami a dziećmi; pomór, drożyzna, rozerwanie dawnych przyjaźni; rozdział w państwie; zamachy przeciw królowi i szlachcie; bezzasadna nieufność, wygnanie przyjaciół, rozprężenie w wojsku, starganie małżeńskich związków i nie wiem jeszcze co.

Edgar. Od jak dawna zostałeś astrologicznym adeptem?

Edmund. Dawno się z ojcem widziałeś?

Edgar. Wczoraj wieczorem.

Edmund. Czyś z nim mówił?

Edgar. Nieinaczej, dwie godziny blisko.

Edmund. Czyście się dobrze rozstali? Nie dostrzegłeś w nim nieukontentowania, bądź w słowach, bądź w obejściu?

Edgar. Najmniejszego.

Edmund. Przypomnij sobie, w czym mu się mogłeś narazić, i unikaj jego obecności, proszę cię, póki czas nie ostudzi jego gniewu; bo w tej chwili gniew jego jest tak wielki, że ledwieby go mogło uśmierzyć jakie gwałtowne wystąpienie przeciw tobie.

Edgar. Jakiś łotr coś mu o mnie nagadał.

Edmund. Boję się, czy tak nie jest. Proszę cię, unikaj go jak najpilniej, dopóki gorączka jego uniesienia nie ochłódnie; a tymczasem ukryj się w moim pokoju, gdzie ci nastreczę sposobność do wysłuchania, co on mówić będzie. Posłuchaj mojej rady: oto klucz. A jeżeli wyjdiesz, to miej broń przy sobie.

Edgar. Broń przy sobie, bracie?

Edmund. Tak, bracie; radzę ci to dla twojego dobra; nieuczciwy-m człowiek, jeżeli się co dobrego dla ciebie święci. Powiedziałem ci, co wiedziałem i słyszałem; słaby to tylko rys w porównaniu ze strasznym obrazem rzeczywistości. Idź, idź, zaklinam cię.

Edgar. Prędkoż się zobaczymy?

Edmund. Spuść się już na mnie.

(Wychodzi Edgar).

Łatwowierny ojciec

I brat szlachetny, których dobroduszość
Tak jest daleką od szkodzenia drugim,
Że nie przypuszcza, aby był ktokolwiek
Zdolnym do tego, to dogodna para
Do mych widoków. Głupia ich poczciwość
Będzie podwodą, którą się do celu
Łatwo dostanę. Widzę już mą przyszłość.
Nie ród, to przemysł uczyni mię panem;
Wszystko mi dobre, co zgodne z mym planem.

(Wychodzi).

SCENA III.

Pokój w pałacu księcia Albanii.

(Wchodzi Goneryla i Oswald).

Goneryla. To więc mój ojciec obił mego sługę
Za to, że jego lżył błazna?

Oswald. Tak, Pani.

Goneryla. Dzień i noc mi dokuczają; niema chwili,
Żeby nam jaki nowy jego wybryk
Nie dał się uczuć; nie zniósę już tego.
Jego rycerze pozwalają sobie
Coraz to więcej, a on sam dom wstrząsa
O lada fraszkę. — Jak powróci z łowów,
Nie chcę go widzieć; powiedz mu, Oswaldzie,
Że jestem słaba. Jeśli moja służba
Będzie dla niego nadal mniej uległą,
To dobrze zrobi: ja biorę na siebie
Odpowiedzialność. *(Odgłos rogów).*

Oswald. Już powraca, słyszę.

Goneryla. Okaż mu waćpan i inni w czemkolwiek
Lekceważącą opieszałość. Pragnę,
Aby się o to wytoczyła sprawa:
Jeśli mu nie w smak mój dom, to niech idzie
Do mojej siostry, która się w tym względzie
Zupełnie ze mną zgadza i nie myśli
Uginać karku. Bezrozumny starzec!
Chce mu się jeszcze imponować władzą,
Której się pozbył. Te stare półgłówki,
Na honor, stają się małemi dziećmi,
I krótko trzeba ich trzymać, bo skoro
Ich się pogłaszcze, zaraz na kiel biorą.
Com powiedziała, pomnij.

Oswald. Dobrze, Pani.

Goneryla. A jego orszak niech oziębłość znajdzie
Pomiędzy nami; co z tego wypadnie,
Mniejsza; poszepnij to całej mej służbie,
Radabym z tego wydobyć sposobność
Do przemówienia. Zaraz list napiszę
Do mojej siostry, ażeby działała
W tym samym duchu. Zarządź waćpan obiad.
(Wychodzą).

SCENA VI.

Tamże, inny pokój.

(Wchodzi Kent przebrany).

Kent. Jeżeli tylko zdołam dobrze udać
Głos obcy, który akcent mój pokryje,

Goneryla obawia się kłopotu

*Edmund
Goneryla
Oswald*

To mi się może najzupełniej powieść
Ten bogobojny zamiar, dla którego
Postać zmieniłem. No, wygnany Kencie,
Niech jeno nieba twoim dobrym chęciom
Pobłogosławić raczą i pozwalając
Być użytecznym tam, skąd cię wygnano,
A twój kochany pan nieznużonego,
Niepożytego znajdzie w tobie sługę.

(Odgłos rogów. Lir wchodzi; za nim rycerze i służba).

Król Lir. Nie każcie mi ani sekundy czekać na obiad.
Nuże! Niech dają! — *(Jeden z orszaku wychodzi).* Kto
ty jesteś? he?

Kent. Człowiek, Panie.

Król Lir. Jaki twój stan? Czego chcesz?

Kent. Mój stan, Panie, nie jest krótszym, niż się wydaje;
chcę zaś wiernie służyć temu, kto mi zaufa; kochać
tego, kto poczciwy; przestawać z tym, kto ma rozum
i mało mówi; bić się, kiedy inaczej być nie może, niebu
cześć oddawać i ryb nie jeść.

Król Lir. Któż ty jesteś?

Kent. Prostoduszny człowiek i biedny, jak nasz król.

Król Lir. Jeżeliś tak biedny, jako poddany, jak on jest
biedny, jako król, to zaprawdę dość biednym jesteś.
Czego żadasz?

Kent. Służby.

Król Lir. Komuż chcesz służyć?

Kent. Wam.

Król Lir. Czy mię znasz?

Kent. Nie znam Was, Panie, ale macie coś w sobie, co
mię do służenia Wam pociąga.

Król Lir. Cóż takiego?

Kent. Wyższość.

Król Lir. A co ty umiesz?

Kent. Umiem trzymać język za zębami, kłusować, biegać,
psuć ciekawe powieści opowiadaniem ich i jasno otrzy-
mane polecenie po prostu wypełniać. Do czego pospo-
lity człowiek może się kwalifikować, do tegom ja zdolny,
a najlepszą moją zaletą jest gorliwość.

Król Lir. W jakimże jesteś wieku?

Kent. Nie w takim, żeby się zakochać w kobiecie, jak za-
śpiewa; ani w takim, żeby szaleć za nią bez przyczyny:
mam lat czterdzieści ośm na karku.

Król Lir. Zgoda, przyjmuję cię do usług. Jeżeli po obie-

dzie nie podobasz mi się gorzej, niż teraz, to się nie
zaraz rozłączymy. — Obiad! hej! obiad! — Gdzie mój
błazen? — Niech tam kto pójdzie po mego błazna.

(Wchodzi Oswald).

Hola! służba! — Gdzie moja córka?

Oswald. Za pozwoleniem.

(Wychodzi).

Król Lir. Co on powiedział? he? Niech się wróci ten cym-
bał. — Gdzie mój błazen? — Cóż to, czy się wszyscy
pospali? — No, i cóż? Gdzie ten niedołęga?

Jeden z rycerzy. On mówi, Panie, że Wasza córka słaba.

Król Lir. Dlaczego obwieś nie przyszedł, kiedy go wo-
łałem?

Rycerz. Odpowiedział mi, Panie, jak najzwieźlej, że nie
chce.

Król Lir. On? nie chce?

Rycerz. Nie wiem, co się to znaczy, Miłościwy Panie, ale
Wasza Wysokość nie odbiera teraz, jak uważam, tej
uroczystej atencji, jaką Jej dotąd oddawano; pokazuje
się wielki ubytek uprzejmości, tak ze strony domowni-
ków, jak ze strony księcia i księżny.

Król Lir. Tak waćpan myślisz?

Rycerz. Błagam cię, Miłościwy Panie, wybacz mi, jeśli
się mylę; obowiązek mój nie pozwala mi milczeć, kiedy
mi się zdaje, że Waszą Królewską Mość krzywdzą.

Król Lir. Potwierdzasz tylko to, co mi już samemu po
głowie chodziło. Dostrzegałem ja w ostatnich czasach
widocznego zaniedbania, ale wołałem to przypisywać
mojej podejrzliwości, niż ich złej wierze i umyślnemu
lekceważeniu. Muszę w to wejrzeć głębiej. — Ale gdzie
mój błazen? od dwóch dni go nie widziałem.

Rycerz. Odkąd nasza młoda królewna do Francji wyje-
chała, bardzo się zmizerował.

Król Lir. Dajmy temu pokój; uważałem ja to. — Idź wać-
pan do mojej córki i powiedz jej, że chcę z nią mó-
wić. — A wy zawołajcie tu mego błazna. —

(Oswald powraca).

A! to waszmość. Pójdźno tu waszmość. Kto ja jestem?

Oswald. Któż? Ojciec Jej Książęcej Mości.

Król Lir. Ojciec Jej Książęcej Mości? mości hultaju! ty
psie parszywy! ty fagasio! ty mucu!

Oswald. Nie jestem ani tem, ani owem, milordzie; proszę
mi darować.

Król Lir. Będiesz mi odszczekiwał, gałganie?

(*Uderza go*).

Oswald. Ja się, milordzie, bić nie dam.

Kent (*podbijając mu nogi*). Ani sobie nogi podstawić? ty nikczemny fidrygansie!

Król Lir. Dziękuję ci, przyjacielu: dobrze mi służysz, będę i ja dobrym dla ciebie.

Kent. Wstań Wasze i wynoś się! Nauczę ja cię znać różnice. Wynoś się, wynoś! Jeżeli chcesz jeszcze raz zmierzyć długość swego chudego cąbra, to zostań, a nie, to ruszaj mi zaraz. Allons! marsz! Miej rozum — tak.

(*Wytrąca Oswalda za drzwi*).

Król Lir. Dobrze, mój pocziwczu, dziękuję ci. Masz tu zadatek.

(*Daje Kentowi pieniądze. — Wchodzi Błazen*).

Błazen. Niechże go sobie i ja kupię. — (*Do Kenta*). Oto masz mój kapturek.

(*Daje Kentowi swój kapturek*).

Król Lir. Co to ma znaczyć, mój synu?

Błazen (*do Kenta*). Otbyś wziął, bracie, mój kapturek; nie masz nic lepszego do zrobienia.

Kent. Dlaczego, mości błaznie?

Błazen. Dlatego, że się wieszasz przy kimś, co popadł w niełaskę. Jeżeli się umiesz uśmiechać wedle tego, jak wiatr wieje, to dostaniesz kataru. Na, weź mój kapturek. Ten człowiek odpędził od siebie dwie córki, a trzeciej mimo woli dał błogosławieństwo: jeżeli chcesz być przy nim, to trzeba ci gwałtem kapturka. (*Do Lira*). No i cóż, wujaszku? Radbym mieć dwa kapturki, gdybym miał dwie córki.

Król Lir. Dlaczego, moje serce?

Błazen. Gdybym im oddał całe moje mienie, zachowałbym kapturki dla siebie. Oto mój; żebrz o drugi u córek.

Król Lir. Strzeż się waść, bo korbacz będzie w robocie.

Błazen. Prawda jest to pies, którego korbaczem wyganiają do budy; gdy tymczasem jaśnie wielmożnej bonońskiej suczce wolno przy kominie leżeć i cuchnąć.

Król Lir (*do siebie*). Gorzka to dla mnie pigułka.

Błazen (*do Kenta*). Nauczę cię, bracie, jednej przypowieści.

Król Lir. Słuchamy.

Błazen. Uważaj, wujaszku:

Miej więcej, niż zapowiadasz,

Więcej wiedz, niżeli gadasz;

Mniej pożyczaj, niż posiadasz,

Zyskuj więcej, niż zakładasz;

Porzuć kubki i kobiety,

Pilnuj domu i kaletki,

A rachunek będzie letki,

Gdy w dwustu dwie znajdziesz setki.

Król Lir. To wszystko razem wzięwszy, jest — nic.

Błazen. Więc to jest tak dobre, jak mowa niezapłaconego adwokata: niceście mi za to nie dali. Powiedzno mi, wujaszku, czy z niczego żadnego mieć użytku nie możesz?

Król Lir. Ma się rozumieć, mój chłopcze; z niczego będzie nic.

Błazen (*do Kenta*). Powiedzcie mu, proszę, że właśnie tyle wynosi dochód z jego krajów: błaznowi nie zechce uwierzyć.

Król Lir. Cierpki błazen!

Błazen. Czy znasz różnicę, mój chłopcze, pomiędzy cierpkim błaznem a słodkim?

Król Lir. Nie, moja duszo; wskaż mi ją.

Błazen. Kto ci doradził, panie,
Z twych państw uczynić dań,
Niech tu przede mną stanie,
Lub ty za niego stań.
Cierpki i słodki błazen
Wnet się ukaze nam:
Tu jeden w pstrym kaftanie,
A drugi — oto tam.

Król Lir. Błaznem mnie nazywasz, rybeńko?

Błazen. Wszystkie inne tytuły swoje porozdawałeś; ten jest od ciebie nieodłączny.

Kent. Nie jest on kompletnym błaznem, milordzie.

Błazen. Nie, zaiste; milordowie i wielcy ludzie nie pozwalają mi na to. Gdybym miał monopol błazeństw, musieliby oni mieć w nich udział; nie daliby mi swobodnie błaznować, jeślibym im coś z mego towaru nie odstąpił. — Daj mi jaje, wujaszku, a ja ci dam połowicę.

Król Lir. Połowicę? co przez to rozumiesz?

Błazen. Ma się rozumieć połowicę jaja, skoro z niego wyjem środek. Kiedyś rozciął swoje królestwo i podarował obie jego połowice, poniosłeś osła na grzbiecie przez błoto i głowa twoja rozpadła się podobnie na dwie połowice, czyniąc z ciebie półgłówka. Jeżeli to

mówię jako błazen, to każ ściągnąć korbaczem tego, co tak utrzymywać będzie.

(Śpiewa).

Błazny dziś dawną wziętość stracili,
Bo pobłaźnieli mędrcom;
Próżno się który na koncept sili:
Żaden nic trafnie nie powie.

Król Lir. Od jak dawna masz torbę tak pełną pieśni?

Błazen. Od tak dawna, wujaszku, jakieś córkom swoim kazał sobie matkować: bo kiedy im dałeś różgę do ręki, a sobie spuściłeś to, co wiesz,

(Śpiewa).

One w płacz z szczęścia niespodzianego,
Jam się śpiewaniem pocieszał,
Że król tak wielki gra w schowanego
I między błaznów się wmieszał.

Proszę cię, wujaszku, przyjmij nauczyciela, coby twego błazna nauczył kłamać: radbym nauczyć się kłamać.

Król Lir. Jak wasze będziesz kłamał, to dostaniesz plagi.

Błazen. Nie pojmuję, jakie jest pokrewieństwo między tobą a twemi córkami: one mi grożą plagami, jak będę mówił prawdę, ty mi grozisz plagami, jak będę kłamał; a czasem grożą mi plagami, jak cicho siedzę. Wolałbym być nie wiem czem, niż błaznem; a jednakże nie chciałbym być tobą, wujaszku. Oberwałeś swój rozum z obu stron i nic nie zostawiłeś w pośrodku; oto jedna z tych obrywek.

(Wchodzi Goneryla).

Król Lir. Jak się masz, córko? Co znaczą te fałdy
Na twojem czole? Od pewnego czasu
Jesteś, uważam, bardzo zachmurzona.

Błazen. Walnym byłeś chłopcem, kiedyś nie potrzebował zważać na marsy; teraz jesteś zerem bez cyfry. Jam teraz lepszy od ciebie: jestem błaznem, ty niczem. —
(Do Goneryli). W rzeczy samej trzeba mi zahamować język. Nakazuje mi to oblicze pani, choć usta jej nic nie mówią. Sza! sza!

Kto ma okruchy za nic i ochłapy,
Syty wszystkiego, z czasem liże łapy.
To wyluszczony strączek.

(Wskazuje na Lira).

Goneryla. Nie tylko ten Wasz wyuzdany trefniś,
Ale i inni z Waszego orszaku,

Milordzie, ciągle szerzą zamieszania
I niepokoje, bonując i brojąc
W sposób, zaprawdę, do zniesienia trudny.
Myślałam, Panie, że gdy Wam to podam
Do wiadomości, złe wkrótce ustanie;
Lecz teraz, po tem, coście świeżo rzekli
I uczynili, muszę się obawiać,
Czyli ten zdrożny tryb postępowania
Nie jest powagą Waszą osłonięty,
I czy go sami nie wywołujecie
Potakiwaniem swoim. W takim razie
Znalazłyby się kluby do ścieśnienia
Tych niesforności i surowa karność
Nie zaspalaby sprawy. Ostre środki,
Zdolne przywrócić pożądany spokój,
Mogłyby wprowadzić, Panie, w biegu swoim
Przykrość Wam sprawić, i nam, w innym razie,
Być niegodnymi; w obecnym atoli
Byłyby krokiem z roztropnością zgodnym,
Który potrzeba nakazuje.

Błazen. Tak jest,

Bo wiesz, wujaszku:
Wróbel kukułkę póty pielęgnuje,
Póki mu płód jej oczu nie wykluje.
Otóż i wypaliła się świeca i osiedliśmy w ciemności.

Król Lir. Jestżeś ty moją córką?

Goneryla. Drogi Panie,
Radabym, żebyś chciał się powodować
Zdrowym rozsądkiem, którego, wiem dobrze,
Masz po dostatku, i zbył się tych chimery,
Któreć stawiają od pewnego czasu
W sprzeczności z sobą samym.

Błazen. Przecież i osioł pozna się na tem, kiedy wóz ciągnie konia. — Brawo, Maciusiu, Kocham cię!

Król Lir. Poznajeż mię tu kto? To nie ja jestem;
To nie Lir! Takżeż Lir wygląda, mówi?
Gdzie jego oczy? Chyba jego zmysły
Stępały, jego umysłowe władze
Snem letargicznym zostały ujęte.
Czyliż ja czuwam? Nie, to być nie może.
Czemże ja jestem? Mów kto!

Błazen. Cieniem Lira.

Król Lir. Gotówem temu uwierzyć, bo wedle

Królewskich oznak, pamięci i wiedzy,
Mógłbym być w błędzie, myśląc, że mam córki.

Błazen. Co chcą wychować posłusznego ojca.

Król Lir. Jak się zwiesz, piękna pani?

Goneryla. O, milordzie!

To zdumiewanie się nosi charakter
Innych wybryków Waszych. Chciejcie, proszę,
Wejść lepiej w moją myśl: bądźcie rozsądni,
Tak jak jesteście starzy i szanowni.
Utrzymujecie tu zgrają rycerzy
I giermków, ludzi tak rozpróżnionych,
Tak źle się prowadzących i burzliwych,
Że zarażony ich obyczajami
Dwór nasz karczemną ma postać. Hulactwo
I libertynizm czynią dom nasz raczej
Do szynkownianej podobnym gospody
I do zamtuza, niż do poważnego
Mieszkania książąt. Przyzwoitość sama
Każe zaradzić temu. Chciejcie zatem
Uczynić zadość prośbie tej, co może,
W przeciwnym razie, zadośćuczynienie
Mieć sama przez się, i zmniejszcie cokolwiek
Swoją poczet; reszta zaś teraz i nadal
Niech będzie z ludzi statecznych złożoną,
Dbałych o własną sławę i o Waszą.

Król Lir. Do wszystkich piekieł i szatanów! — Hola!

Siodłajcie konie! niech się zbierze zaraz
Cały mój orszak! — Bękartko wyrodna!
Już ci się więcej naprzykrzać nie będę:
Jeszcze mam jedną córkę.

Goneryla. Bijesz, Panie,
Mych domowników i hałastra Wasza
Pomiata ludźmi lepszymi od siebie.
(Wchodzi księżę Albanii).

Król Lir. Biada tym, którzy zapóźno żałują! —
(Do księcia).

Ha! to Wy, Panie. Czyliż się to dzieje
Z upoważnieniem Waszem? Odpowiedzcie. —
Osiodłać konie! hej! — O, niewdzięczności,
Czarna dyablico, z marmurowem sercem,
Tyś ohydniejsza od hipopotama,
Kiedy się jawisz w dziecku.

Ks. Albanii. Co to znaczy?
Milordzie, chciej się uspokoić, proszę.

Król Lir. Obrzydły sępie, kłamiesz: w mym orszaku
Są sami ludzie wybrani i zacni,
Znający dobrze swoje obowiązki
I umiejący ściśle utrzymywać
Godność imienia swego. — O, ty błahy,
Nic nie znaczący występku Kordelii,
Jakżeś ty wielkim wydał się w mych oczach!
Jakże ty mogłeś wstrząsnąć aż do głębi
Moje jestestwo i w żółć zmienić miłość?

(Bije się w głowę).

O Lirze, Lirze, Lirze, bij w tę bramę,
Przez którą weszło twoje zaślepienie,
A wyszedł rozum! — *(Do swoich).* Idźcie, moi ludzie.

Ks. Albanii. Jam nic nie winien, milordzie, i nie wiem,
Co Wasz gniew budzi.

Król Lir. Być może, milordzie. —

Słuchaj, naturo, ukochane bóstwo,
Słuchaj wezwania mego! Odmień zamiar,
Jeżeliś chciała potwór ten obdarzyć
Imieniem matki! uczyn ją nieplodną!
Zwarz w niej, wyjąłów organa rodzajne!
Niech jej zepsuta krew nie wyda nigdy
Dziecięcia, coby chlubę jej przyniosło!
Jeśli zaś tak jest już postanowionem,
Że jej udziałem ma być macierzyństwo,
Niech jej płód będzie zlewkiem wszelkiej złości
I dokuczliwem dla niej mąk narzędziem!
Niechaj wryje zmarszczki na jej czole,
Wyciskanemi bez ustanku łzami
Niech jej zbrózdruje lica! za jej trudy,
Za odebrane od niej dobrodziejstwa,
Niech jej zapłaci śmiechem i pogardą!
By mogła uczuć, o ile dotkliwiej,
Niż ukąszenie zjadliwego gadu,
Boli niewdzięczność dziecka! — Precz stąd! precz stąd!
(Wychodzi z Kentem i orszakiem swoim).

Ks. Albanii. Na miłość bogów, których czcimy, powiedz,
O co to poszło?

Goneryla. Nie troszcz się o powód;
Zostawmy wolne pole przywidzeniu,
Co się wylęgło w niedołężnej głowie. *(Lir powraca).*

Król Lir. Jakto? za jednym machem pięćdziesięciu
Moich rycerzy i to w dwóch tygodniach?

Ks. Albanii. O, Panie, co to jest?

Król Lir. Dowiesz się zaraz. —

(Do Goneryli).

Do wszystkich śmierci! Aż się wstydzić muszę,
Że ty do tego stopnia mogłaś zatrzeć
Mym męskim duchem; że te zły gorące,
Które się gwałtem z mych ocz dozywają,
Płyną przez ciebie. Niech cię tknie zaraza!
Niezdolne nigdy się zabiżnić rany
Ojcowskich przekleństw niech przejmą i przeżrą
Wszystkie organa twoje! — A wy stare,
Dziecinne oczy, jeślibyście jeszcze
Raz uroniły łzy nad tem, co zaszło,
Wyrwę was z niemi i w proch rzucę, byście
Błotem się stały. — Ha! niech i tak będzie!
Mam inną córkę, która, pewny jestem,
Będzie uprzejmą dla mnie i powolną.
Skoro jej twoje obejście się ze mną
Będzie wiadomem, paznokciami ona
Rozszarpie twoją twarz wilczą. Zobaczysz,
Znow ja przybioreę właściwą mi postać,
Której, rozumiesz, że zbyłem na zawsze.
Ręczę ci za to.

(Wychodzi).

Goneryla. Słyszałeś, milordzie?

Ks. Albanii. Przy całej mojej miłości dla ciebie,
Nie mogę tak być stronnym, Gonerylo.

Goneryla. Dajmy już temu pokój! — Hej! Oswaldzie!

(Do błazna).

A Waszmość z głupia-francie idź za panem.

Błazen. Zaczekaj, wujaszku, zaczekaj! weź z sobą swego
błazna.

Taka córka, gorsza Turka,
Nabawiłaby mię sznurka,
Pomimo mego kapturka:
A więc błazen daje nurka.

(Wychodzi).

Goneryla. Ten człowiek miał węch dobry. — Stu rycerzy!

Zapewne, toby było politycznie

I z bezpieczeństwem, dać mu mieć przy sobie

Aż stu rycerzy! by za lada szusem,

Lada fantazyą, lada urojeniem,
Za lada jaką skargą lub urazą,
Mógł siłą poprzeć swoje fanaberye
I miecz nam trzymać nad głową. — Oswaldzie!

Ks. Albanii. Może też zbyt się obawiasz.

Goneryla. Bezpieczniej

Zbyt się obawiać, niżeli zbyt ufać.
Wolę ja złemu, gdy się go obawiam,
Wcześniej kark łamać, niż wciąż się obawiać,
Aby mnie ono karku nie złamało.
Znam ja grunt jego. O tem, co objawił
Słowem i czynem, piszę do mej siostry;
Jeżeli ona, pomimo mych przestróg,
Zechce go trzymać i jego stu drabów...
Gdzież Oswald? — Oswald!

(Wchodzi Oswald).

Czy już napisany

List do mej siostry?

Oswald. Napisany, Pani.

Goneryla. Weź z sobą kilku ludzi i siądź na koń.

Przełoż jej, wyłuszczone wszystkie me obawy,
I dodaj z swojej strony, co wypadnie,
Aby rzecz wzmocnić. Jedź, a wracaj prędko.

(Wychodzi Oswald).

Nie, nie, milordzie, nie mam ja ci za złe
Tej twojej mlekiem i miodem zaprawnej
Dobrotliwości serca, ale, wybacz,
Bardziej świat gani twój brak roztropności,
Niż twą szkodliwą łagodność pochwała.

Ks. Albanii. Nie chcę rozstrzygnąć, czy sądzisz zasadnie:

Kto lepsze goni, często w gorsze wpadnie.

Goneryla. A więc?...

Ks. Albanii. Czekałmy końca.

(Wychodzą).

SCENA V.

Dziedziniec w pałacu, tamże.

(Wchodzą: król Lir, Kent i Błazen).

Król Lir. Jedź waść naprzód z tym listem do miasta Glo-
ster, powiedz mojej córce o tem, co wiesz; tylko tyle,

ile jej pytania, po odczytaniu listu, wyciągać będą. Jeżeli się nie będziesz bardzo śpieszył, stanę tam przed tobą.

Kent. Nie zmrużę oka, milordzie, dopóki nie doręcę Waszego listu.

(Wychodzi).

Błazen. Gdyby mózg człowieka był w pięcie, nie byłżeby narażony na odziębłość?

Król Lir. Nieinaczej, mój synu.

Błazen. Bądźże wesół, wujaszku, twój rozum nie będzie nigdy potrzebował chodzić w papuciach.

Król Lir. Cha! cha! cha!

Błazen. Zobaczysz, że ta druga twoja córka grzecznie się z tobą obejdzie; bo chociaż ona tak jest do tej podobna, jak leśne jabłko do sadowego, to dlatego wiem dobrze, to co wiem.

Król Lir. Cóż ty wiesz, mój robaku?

Błazen. Będzie do tej w smaku tak podobną, jak leśne jabłko do leśnego jabłka. A wiesz ty, wujaszku, dlaczego nos sterczy w środku twarzy?

Król Lir. Nie wiem.

Błazen. Dlatego, żeby po każdej jego stronie było jedno oko, i żeby człowiek mógł dojrzeć to, czego zwąchać nie może.

Król Lir. Skrzywdziłem ją!...

Błazen. Wiesz, wujaszku, jakim sposobem ostryga urabia sobie skorupę?

Król Lir. Nie wiem.

Błazen. Ani ja; ale wiem, na co ślimak ma dom.

Król Lir. Na cóż?

Błazen. Na to, żeby weń głowę włożył; nie na to, żeby go oddał córkom i rogi swoje zostawił bez puzdra.

Król Lir. Wyrzekam się mojej natury. — Tak dobrym będąc ojcem! — Czy konie w pogotowiu?

Błazen. Osły już nie poszły. Powód, dla którego w grupie siedmiu gwiazd niema gwiazd więcej niż siedm, jest powodem extra ciekawym.

Król Lir. Bo ich niema ośm.

Błazen. W rzeczy samej; doskonały byłby z ciebie błazen.

Król Lir. Gwałtem odebrać będę musiał. — Potworna niewdzięczności!

Błazen. Gdybyś ty był moim błaznem, wujaszku, dostałbyś kije za to, żeś się przed czasem zestarzał.

Król Lir. Jakto?

Błazen. Nie trzeba ci się było zestarzyć, dopókiś nie zmądrzał.

Król Lir. O, bogowie, nie dajcie mi oszaleć! Zachowajcie mi przytomność! Nie chciałbym oszaleć.

(Wchodzi jeden z rycerzy).

Czy konie w pogotowiu?

Rycerz. W pogotowiu, Panie.

Król Lir. Siadajmyż.

(Wychodzą).

AKT DRUGI.

SCENA I.

Dziedziniec w zamku hrabiego Glostera.

(Wchodzą Edmund i Kuran ze stron przeciwnych).

Edmund. Dobry wieczór, Kuranie.

Kuran. I wam, milordzie. Byłem u waszego ojca i udzieliłem mu wieści, że księżę Kornwalii z swą księżną Reganą tej nocy tu przybędą.

Edmund. Cóż ich sprowadza?

Kuran. Nie wiem. Słyszałeś, milordzie, o krążących nowinach, albo raczej o szeptanych? bo to są dotąd rzeczy podawane na ucho.

Edmund. Nie słyszałem o żadnych. Cóż to takiego?

Kuran. Nie słyszałeś o prawdopodobnie wiszącej wojnie między książętami Albanii i Kornwalii?

Edmund. Ani słowa.

Kuran. Więc kiedyś o tem usłyszysz. Żegnaj cię, milordzie.

(Wychodzi).

Edmund. Księżę tej nocy, tu? Dobrze, wybornie!

To się w me plany samo przez się wplata.

Mój ojciec wysłał strażę dla pojmania

Mojego brata, ja zaś mam przed sobą

Ślizkie zadanie, które spełnić muszę.

Przedsiębiorczości i fortuno, sprzyjaj!

Bracie, znijdź, mam ci coś powiedzieć. Bracie!

(Wchodzi Edgar).

Nasz ojciec czujny; uciekaj, co żywo!
Wyśladowano, gdzie jesteś ukryty.
Uciekaj, póki czas, korzystaj z pory.
Czyś ty co nie rzekł na księcia Kornwalii?
On tu przybywa, teraz, w noc, tak nagle;
A z nim Regana. Nie mówilżesz czego,
Obstając za nim na księcia Albanii?
Pomyślno?

Edgar. Ani słowa, jestem pewien.

Edmund. Ha! słyszę kroki ojca. Wybacz, bracie:
Pozornie muszę miecz na ciebie dobyć;
Wydobądź także; udaj, że się bronisz. —
Podдай się! pójdź do ojca! Hola! światła!
Uciekaj! — Światła! hej! — Tak — bądź zdrów, bracie.

(Wychodzi Edgar).

Skoro cokolwiek krwi sobie utoczę,
(Rani się w ramię).

Utwierdę przez to wiarę w tem gorętszą
Moją żarliwość. Widziałem pijaków
Robiących na żart gorsze rzeczy. — Ojczy!
Stój! Stój! Nie znajdeż pomocy?

(Wchodzi Gloster za nim słudzy z pochodniami).

Gloster. I cóż, Edmundzie, gdzie ten łotr?

Edmund. Przed chwilą
Stał tu w ciemności z gołym mieczem, mrużąc
Dyabelski pacierz, zaklinając księżyc,
Swe opiekuńcze bóstwo.

Gloster. Gdzież się podział?

Edmund. Patrz, panie, krew mnie broczy.

Gloster. Gdzie ten hultaj?

Edmund. Uszedł tą stroną, kiedy w żaden sposób
Nie mógł...

Gloster. Ruszajcie w pogoń za nim, żywo!
Co w żaden sposób?

(Wychodzą słudzy).

Edmund. Nie mógł mię nakłonić
Do odebrania życia Waszej Cześci.
Gdym mu przekładał, że bogowie zemsty
Wszystkie pioruny swoje obracają
Na ojcobójców, gdym mu przypominał,
Jak wieloliczne i jak silne węzły
Jednoczą dzieci z ojcem, — słowem, panie,
Gdy widział, z jakim wstrętem przyjmowałem

Namowy jego przeciwne naturze,
W dzikim zapędzie natarł ostrym mieczem
Na me bezbronne ciało, pchnął mię w ramię;
Skoro atoli spostrzegł, że w poczuciu
Mej dobrej sprawy zebrał władzę ducha
I energicznie stanął z nim do walki,
Może też krzykiem, jakimom narobił,
Strwożony będąc, uszedł szybkim krokiem.
Gloster. Niech jak najdalej uchodzi; w tym kraju
Niema dla niego oparcia, grób tylko.
Szlachetny księżę, mój pan i protektor,
Dostojny zwierzchnik mój, zjeżdża tej nocy,
Jego powagą poprę ogłoszenie,
Że kto mi tego zbójckiego tchórza
Pod miecz dostawi, zyska dzięki moje;
Kto go ukryje — śmierć.

Edmund. Gdym go odwoził
Od zamierzonej zbrodni i, ujrawszy,
Że trwa w swej złości, surowemi słowy
Groził mu, że go wydam, odpowiedział:
O ty bękarcki chłystku, czy rozumiesz,
Że gdy ja fałsz ci zadam, twe zeznanie
Będzie mieć jaką wagę, moc i wiarę?
Nie ludź się próżno: czemu ja zaprzeczę
(A przeczyć będę, chociażbyś mą duszę
Żywcem przedstawił), to się wnet obróci
Przeciwko tobie, jako wymysł, dowód
Intrygi twojej i złośliwych knowań:
Chybabyś musiał świat zamienić w dudka,
Gdyby nie uznał, o ile dla ciebie
Korzyść z mej śmierci jest potężnym bodźcem
Do jej zadania.

Gloster. O, łotr pierwszej próby!
Mógłże on zaprzecić się własnego listu?
Nie, nie, on nie jest moim synem.

(Odgłos trąb).

To trąby księcia. Co go tu sprowadza,
Nie wiem. Dokoła każe zamknąć bramy;
Nie wymknie mi się nędznik. Księżę musi
Rozporządzenia me zatwierdzić. Przytem
Każe rozesłać wszędzie jego obraz,
Aby go cały kraj dokładnie poznał;
Wreszcie obmyślę środki, aby wszystkie,

Jakie mam, ziemie, wraz z całą iścizną,
Twoją, Edmundzie, stały się puścizną.
(Wchodzi: księżę Kornwalii i Regana ze swoim orszakiem).
Ks. Kornwalii. Witaj, mój zacny przyjacielu! Cóż to?
Ledwie tu przybył (a to nastąpiło
Przed chwilą), dziwne doszły mnie nowiny.
Regana. Jeżeli to jest prawda, niema kary,
Którejby nie był godzien winowajca.
Jakże się miewasz, milordzie?
Gloster. O, Pani,
Cios ten mię złamał; stare serce moje
Spękane.
Regana. Jakto? Onże, ulubieniec
Mojego ojca, godził na twe życie?
On, co mu ojciec mój dał imię? Edgar?
Gloster. O, Pani, wstydby rad to mieć ukrytem.
Regana. Czy on czasami nie miał związków z zgrają
Tych rozpasanych rycerzy, co tworzą
Orszak mojego ojca?
Gloster. Nie wiem, Pani.
To zgroza! zgroza!
Edmund. Tak jest, Pani, miał je.
Regana. Nie dziw więc, że był skłonny do niecnoty:
Oni to zabić mu kazali starca,
By mienie jego zająć i roztrwonić.
Dziś w wieczór właśnie dostałam od siostry
Bliższą wiadomość o nich, skutkiem której
Nie myślę nigdy być w domu podtenczas,
Gdy oni zjadą w gościnę.
Ks. Kornwalii. Ja także,
Możesz być pewną, Edmundzie, słyszałem,
Że postąpiłeś sobie względem ojca
Prawdziwie po synowsku.
Edmund. Mości księżę,
To było moim obowiązkiem.
Gloster. Odkrył
Jego knowania i odebrał oto
Tę ranę, chcąc go przytrzymać.
Ks. Kornwalii. Czyś posłał
W pogoń za zdrajcą?
Gloster. Nieinaczej, Panie.
Ks. Kornwalii. Jeżeli będzie schwytany, złość jego
Nie będzie nadal szkodliwą nikomu.

Rozrządzaj mocą moją według woli.
Ty zaś, Edmundzie, którego pocziwość
I przywiązanie synowskie obecnie
Tak jasno świecą, ty do nas należysz;
Potrzebujemy ludzi zaufanych:
Bądźże z nich pierwszym.
Edmund. Będę służył, Panie,
Źle albo dobrze, ale wiernie.
Gloster. Dzięki
Za niego składam Waszej Wysokości.
Ks. Kornwalii. Nie wiesz, pociśmy przybyli w twe progi
Regana. O tak niewczesnej porze, w noc tak ciemną.
Okoliczności, szlachetny Glosterze,
Niepospolitej wagi, względem których
Potrzebujemy rady twej zasięgnąć,
Przyniewoliły nas do tych odwiedzin.
Ojciec nasz pisał, podobnież i siostra,
O pewnych zaszłych nieporozumieniach,
W przedmiocie których odpowiedź udzielić
Uważaliśmy za najstosowniejsze
Poza obrębem domu. Tu czekają
Na nią posłańcy. Daj folgę boleści,
Nasz doświadczony, dobry przyjacielu,
I zdrowej rady swej nam użyż w sprawie
Odwłoki nie cierpiącej.
Gloster. Służyć Pani.
Niech Księstwo Ichmość raczą się rozgościć.
(Wychodzą).

SCENA II.

Przed zamkiem Glostera.

(Wchodzi: Kent i Oswald z przeciwnych stron).

Oswald. Dobry świt, przyjacielu. Czyś tutejszy?
Kent. Ech!
Oswald. Nie wiesz, gdzieby tu można konie umieścić?
Kent. W błocie.
Oswald. Powiedz mi, jak mię kochasz.
Kent. Ja ciebie nie kocham.
Oswald. Kiedy tak, to się obejdę bez ciebie.
Kent. Obejście moje z tobą byłoby inne w innem miejscu!

Oswald. Dlaczego tak ze mną poczynasz, mój człowieku?
Ja ciebie nie znam.

Kent. Ale ja znam ciebie, mój robaku.

Oswald. Któż ja jestem, jeżeli mię znasz?

Kent. Hultaj, nequam, pieczeniarsz; nikczemny, próżny, brudny, pyszny a goły, strojny a głodny, niecnota w grubych, wełnianych pończochach, tchórz, piszący pozwy za obrazę; zakochany w sobie, mizdrzący się, nadskakujący, elegancki hultaj; infamis, gotów makarelować z wielkiej usłużności; co się ma za coś, a nie jest niczem innym, jak mieszaniną łotra, golca, tchórza, rajfura, synem nieodrodnym burej suki; którego zbiję na kwaśne jabłko, jeżeli zechce ująć choćby jedną literę z tych zaszczytnych tytułów.

Oswald. Cóż za okropny człowiek z waszmości, że tak jeździsz po mnie, który ani ci jestem znany, ani znam ciebie?

Kent. Co za bezwstydnny cham z wasana, żeby się zapierać mojej znajomości? Toż dopiero dwa dni temu, jakem ci w tył dał nogą i wygrzmocił cię przed królem. Dobądź żelazka, hultaju; chociaż to noc, ale miesiąc świeci: zmaceruję cię przy świetle miesiąca. (*Dobywa miecza*). Dobądź żelazka, mówię, ty plugawy, przemierzły golibrodo!

Oswald. Idź zdrów, nie mam nic z tobą do czynienia.

Kent. Dobądź żelazka, hultaju: nosisz listy przeciw królowi i służysz tej lalce wiatrem wydętej przeciw powadze jej ojca. Broń się, warchole, albo ci tak naszpikuję pieczeń — broń się!

Oswald. Ratunku! morderstwo! ratunku!

Kent. Broń się, psubracie; stój! stój! ty wymuskany fufancie! broń się!

(*Bije go płazem miecza*).

Oswald. Hej! ratunku! morderstwo! morderstwo!

(*Wchodzą: księżę Kornwalii, Regana, Gloster, Edmund i służba*).

Edmund. Co to jest? Co się tu dzieje?

Kent. Do usług waszych, mój paniczu, jeżeli macie ochotę; pójdź, potańcujemy z sobą.

Gloster. Miecze dobyte! Co to znaczy?

Ks. Kornwalii. Stójcie, jeśli wam życie miłe: umrze,

Kto jeszcze zacznie. Co się to ma znaczyć?

Regana. To są posłańcy siostry mej i króla.

Ks. Kornwalii. Jaki jest powód waszej kłótni?
Mówcie.

Oswald. Ledwie oddychać mogę, Panie.

Kent. Nie dziwota, takeś zhasał twe męstwo. Tchórzliwy niecnoto, natura wypiera się ciebie; szewc cię splodził.

Ks. Kornwalii. Dowcipniś jakiś: szewc splodzić człowieka!

Kent. Tak jest, szewc, Panie: żaden kamieniarz, ani malarz nie byłby go tak sfuszerował, choćby był parę godzin spędził przy pracy.

Ks. Kornwalii. Powiedźcie jednak, skąd przyszło do kłótni?

Oswald. Ten stary burda, com mu życie szczenił,
Przez wzgląd na jego siwą brodę...

Kent. Ty, nikczemny iksie, niepotrzebna litero. Mości księżę, pozwól mi, a zdepcę na miałkie wapno tego niepytlowanego hultaja i posmaruję nim miejsce, gdzie mój pan chodzi piechotą. Oszczędzałeś moją siwą brodę, ty pliszko?

Ks. Kornwalii. Milcz, gburze, nie znaszli uszanowania.

Kent. Znam, Panie, ale gniew ma swój przywilej.

Ks. Kornwalii. Cóż gniew twój budzi?

Kent. To, że taki nędznik,

Co nie ma w sobie i szczypty honoru,
Może miecz nosić. Takie infamisy,
Z wiecznym uśmiechem na ustach, jak szczury,
Święte częstokroć przegryzają węzły,
Co się rozwiązać nie dają; schlebiają
Niegodnym panów swoich namiętnościom;
Olej na ogień leją, a do chłodu
Ich usposobień dorzucają lodu;
Przeczą lub twierdzą, i jednejże doby
Zwracają swoje alcyońskie dzioby
W sto stron, skąd pański wiatr zachwycić mogą,
Jak psy umiejac iść tylko za nogą.

Przepadnij z swoim wykrzywianiem pyska!
Śmiejesz się z moich słów, jakbym plótł brednie?
Gąsiorze! gdybym był na błoniach Sarum!
Pogęgałbyś mi rzewnie do Kamlotu.

Ks. Kornwalii. Czyś ty szalony, starcze?

Gloster. Skąd poróżnienie wasze, to nam powiedz.

Kent. Niema przeciwieństw antypatyczniejszych

Jak ja i taki łotr.

Ks. Kornwalii. Za co go mienisz łotrem? Co ci zrobił?

Kent. Ot, nie podoba mi się jego mina.

Ks. Kornwalii. Może i moja nie, i jej i jego.

Kent. Szczerść jest, Panie, mojem powołaniem.

Widziałem lepsze twarze w mojem życiu,
Niż te, co siedzą na którymbądź karku
Z tych, co je widzę w tej chwili.

Ks. Kornwalii. To jeden
Z tych urwipołciów, co, gdy ich pochwalisz
Za ich grubiaństwo, siłą się udawać
Szorstkść i grają rolę wręcz przeciwną
Swojej naturze. On schlebiać nie umie;
Pocziwa dusza: musi prawdę mówić,
Czy jej kto żąda, czy nie żąda. Znam ja
Takich hultajów: szczerść ich ukrywa
Więcej chytrści i złego zamiaru,
Niż go ma w sobie tuzin głupowatych,
Kornych słuźalców, wykonywających
Swój obowiązek co do joty.

Kent. Panie,
W samej istocie, z całą otwartością,
Z czcią dla wielkiego Waszego aspektu,
Którego wpływ podobien do kędziorów
Promienistego ognia, co migoce
Na czole Feba...

Ks. Kornwalii. Do czego to zmierza?

Kent. Do zastąpienia stylu, który zyskał tak wielką Waszą
nieaprobatę. Wiem, Panie, że nie jestem pochlebca;
kto Was pod pozorem szczerści oszukuje, ten jest
szczerym hultajem, jakimbym ja być nie chciał, choć-
byś Wasza Miłość z niełaski swojej raczyła tego żądać
ode mnie.

Ks. Kornwalii (do Oswalda). Czyliż mu waćpan w czym
[uchybił?

Oswald. W niczem.

Królowi, jego panu, tymi dniami,
W skutku jakiegoś nieporozumienia,
Podobało się mnie uderzyć; wtedy
On, pochlebając pańskiemu gniewowi,
Rzucił się na mnie z tyłu; powaliwszy
Zelżył mnie, okrył szyderstwem i przybrał
Minę człowieka dziwnie wielkiej wagi.
Otrzymał za to pochwały od króla,
Że upokorzył tak walecznie tego,
Co sam z natury swojej był pokornym;

I upojony sławą tego czynu,
Znów się tu do mnie przypiął.

Kent. Te niecnoty,
Tchórzem podszyte, tak się układają,
Że Ajaks obok nich wyda się błaznem.

Ks. Kornwalii. Przynieście dyby, nauczę ja ciebie,
Ty stary drabie, krnąbrny samochwale.

Kent. Za stary jestem, Panie, do nauki;
Cofnij swój rozkaz: ja służę królowi,
Który z zleceniem przysłał mię do Ciebie.
Byłby to wielki brak uszanowania;
Lekceważenie za śmiałe osoby
Mojego Pana, gdybyś jego służę
W dybach osadzał.

Ks. Kornwalii. Hej! przynieście dyby!
Jak honor kocham i życie, posiedzi
W nich do południa.

Regana. Do nocy, milordzie,
Nie do południa; nawet przez noc całą.

Kent. O, Pani, choćbym był psem twego ojca,
Nie powinnabyś tak na mnie nastawać.

Regana. Ale żeś jego ladaco pachółkiem,
Przeto nastaję. *(Przynoszą dyby).*

Ks. Kornwalii. Ten hardy niecnota
Jest najwyraźniej barwy tych, o których
Pisze nam siostra. Pakujcie go w dyby.

Gloster. Łaskawy książę, nie kaź tego czynić.
Wielka jest jego wina, i niechybnie
Zacny król, jego pan, skarci go za to.
Kara, przez ciebie, Panie, zamierzona
Jest taka, jaką wymierzają ludziom
Najnikczemniejszym, najbardziej zhańbionym,
Za kradzież i za inne gminne zbrodnie.
Król za złe weźmie takie postąpienie
Z jego posłańcem i będzie w tem widział
Własną obrazę.

Ks. Kornwalii. Odpowiem ja za to.

Regana. Gorzej to może przyjąć moja siostra,
Że jej dworzanin był napastowanym
I znieważonym w spełnieniu jej zleceń.
Zaklamrujcie mu nogi. *(Zakładają dyby Kentowi).*

Pójdź, milordzie.

(Wychodzą: Regana i ks. Kornwalii).

Gloster. Żal mi cię, bracie. Tak się podobało
Księżciu, którego wola, jak wiadomo,
Nie cierpi ścieśnień ani tamy. Będę
Prosił za tobą.

Kent. Dajcie pokój, panie.
Czuwałem długo i szybko jechałem;
Pół czasu prześpię, drugie pół przegwizdam.
Pocziwym ludziom zdarza się ugrzęznąć.
Życzę wam dnia dobrego.

Gloster. Krok ten księcia
Naganny; za złe będzie mu to wziętem.
(*Wychodzi.*)

Kent. Pocziwy królu, sprawdza się na tobie
Przypowieść: z deszczu trafiłeś pod rynnę.
Zbliź się, pochodnio ziemskiego padołu,
Bym mógł przy twoich rzeźwiących promieniach
List ten przeczytać. Nikt nie widzi cudów,
Tylko niedola: wiem to od Kordelii,
Która szczęśliwym trafem posłyszała,
Gdzie się obracam. Postara się ona
Ten anormalny stan rzeczy sprostować;
Wynajdzie środki. Trudem i niewczasem
Znużone oczy moje, korzystajcie
Ze sposobności, by na ten sromotny
Nocleg nie patrzeć. Fortuno! dobranoc!
Przybądź zdjąć ze mnie te drewniane kleszcze;
Obróć twe koło; uśmiechnij się jeszcze!
(*Zasypia.*)

SCENA III.

Dzika leśna okolica.

(*Wchodzi Edgar.*)

Edgar. Słyszałem imię moje wymówione,
Alem szczęśliwie uniknął pogoni,
Wlazłszy w spróchniałe drzewo. Niema portu
Niema jednego miejsca, gdzieby na mnie
Mnogie a czujne straże nie czyhały.
Dopóki tylko będę mógł, dopóty
Chronić się będę. Umyśliłem przeto
Przybrać na siebie postać tak nikczemną,

Tak odrażliwą, jaka kiedykolwiek,
Z ujmą ludzkości, do stanu zwierzęcia
Zbliżyła nędzę; twarz sobie pomażę
Błotem, łachmanem członki przyoblekę,
Włos sobie zbiję w kołtuniaste kłaki,
I tak wpół nagi stawiać będę czoło
Wiatrom i wszelkim dopuszczeniom niebios.
Za wzór mi będą do naśladowania
Znani w tym kraju bedlamscy żebracy,
Którzy, wydając jęki przeraźliwe,
Wrażają sobie w wychudłe ramiona
Szpilki, cierniowe kolce, ćwieki z trzmielu,
I opłakany tym widokiem, chodząc
Po dworach, chatach, po młynach i hurtach,
Bądź to pokorni, bądź jak opętani,
Na biednych kmieciach wymuszają litość.
Biedny Edgarze, zostań biednym Tomkiem!
Będziesz przynajmniej czemś pod tym przydomkiem.
(*Wychodzi.*)

SCENA IV.

Przed zamkiem Glostera.

(*Wchodzą: król Lir, Błazen i jeden z rycerzy.*)

Król Lir. Rzecz dziwna, że tak wyjechali z domu,
Nie odprawivszy mego posłańca.

Rycerz. Dniem wprzód, o ile słyszałem, nie było
O tym wyjeździe u nich ani mowy.

Kent. Cześć ci, szlachetny Władco.

Król Lir. Tam do licha!
Cóż to, czy bawisz się w hańbę?

Kent. Nie, Panie.

Błazen. Cha, cha! patrzcie, ten nosi podwiązkę nie lada.
Konie wiąże się za głowę, psy i niedźwiedzie za szyję,
małpy za biodra, a ludzi za nogi; kiedy nogi nie stat-
kują, dostają drewnianą obrozę.

Król Lir. Któż to do tego stopnia zapomina
Winnych mi względów, że cię tu osadził?

Kent. Dwoje ich, Panie, on i ona: syn twój
I twoja córka.

Król Lir. Nie.

Kent. Tak jest.
Król Lir. Nie, mówię.

Kent. Tak jest, ja mówię.
Król Lir. Nie, tegoby oni
Nie uczynili.

Kent. Tak jest, uczynili.

Król Lir. Nie, na Jowisza!

Kent. Tak jest, na Junonę!

Król Lir. Oniby tego nie śmieli uczynić,
Oniby tego nie mogli, nie chcieli;
Taka zniewaga w miejsce czci należnej
Byłaby jeszcze gorszą, niż morderstwo.
Powiedz mi krótko ale szczegółowo,
Jak mogłeś ściągnąć na siebie, a oni
Taką ci krzywdę wyrządzić, gdyś przyszedł
W naszym imieniu.

Kent. Panie, gdym im w domu
Doreczył pismo Waszej Dostojności,
Zanim powstałem z miejsca, gdzie na klęczkach
Uszanowanie me ukazał, nadbiegł
Konny posłaniec, usmażony w pocie,
Ledwie ziejący, niosąc pozdrowienie
Od Goneryli, swojej pryncypałki,
I nie wytchnąwszy nawet, list im oddał,
Który też oni zaraz przeczytawszy,
Kazali służbie z największym pośpiechem
Kulbaczyć konie; mnie zaś rzekli zimno,
Abym za nimi jechał i zczekał,
Rychło do dania odpowiedzi znajdą
Swobodną chwilę. Gdym więc tu przybywszy,
Spotkał owego drugiego posłańca,
Którego dobre przyjęcie widocznie
Było powodem mniej dobrego dla mnie
(A był to właśnie ten sam skurczypałka,
Co się niedawno takiego zuchwalstwa
Dopuścił względem Waszej Dostojności),
Więcej krwi w sobie mając niż rozwagi,
Dobylem miecza; on wzruszył dom cały
Tchórzowskim krzykiem, i występek taki
Córka twa, Panie, i syn twój uznali
Godnym sromoty, jaką tu ponoszę.

Błazen. Zima jeszcze nie przeszła, skoro dzikie gęsi tędy
ciągną.

Tatuś chodzący w łątach
Nabawia dzieci ślepoty,
Niech chodzi w złotych szatach,
A będzie znał ich pieśczoły.
Fortuna, sproсна dyablica,
Od biednych odwraca lica.

Ale co się tyczy córek twoich, te ci policzków nie szczędzą.

Król Lir. O, jak ta kolka prze mnie aż do do serca!
Precz, lichu! żywioł twój zamarł już we mnie.
Gdzie jest ta córka?

Kent. Z hrabią, Panie, w zamku.

Król Lir. Nie idźcie za mną, pozostawcie tutaj.
(Wychodzi).

Rycerz. Nie uczyniłeś nic więcej, jak tylko
To, co mówiłeś?

Kent. Więcej nic. Dlaczego
Król się z tak małym pocztem tu wyprawił?

Błazen. Gdybyś był wsadzony w dyby za to pytanie, nie
dziwiłbym się bynajmniej.

Kent. Dlaczego, błaznie?

Błazen. Trzebaby ci pójść na naukę do mrówki, abyś wie-
dział, że się nie pracuje w zimie. Kto idzie za węchem,
tego wzrok prowadzi, wyjąwszy ślepych; a z pomię-
dzy dwudziestu nosów niema i jednego, któryby nie
poczuł kogoś, co cuchnie. Nie czepiaj się wielkiego
koła, gdy się stacza z góry, bo cię pociągnie z sobą
na złamanie szyi; ale kiedy wielkie koło idzie pod górę,
dierz się go i gramol się za niem. Jeżeli jaki mędrzec
da ci lepszą radę, to mi zwróć moją:

Niech za nią idą hultaje,

Ponieważ ją błazen daje.

Kto, lubiąc na dwóch stołkach siadać,

Dla zysku tylko służy,

Ten drapnie, gdy deszcz zacznie padać,

I rzuci cię wśród burzy.

Ja wytrwam w szczęściu nieprzyjaznem,

Niech mędrzec tył podaje:

Odstępny kiep się staje błaznem,

Kpem błazen się nie staje.

Kent. Gdzie ty się tego, błaznie, nauczyłeś?

Błazen. Nie w dybach, błaznie.

(Król Lir powraca, Gloster za nim).

Król Lir. Nie chcesz wyjść do mnie? Słabi są? znużeni?

Jechali całą noc? To są wybiegi,
Wstępne objawy buntu i zerwania!
Przynieś mi lepszą odpowiedź.

Gloster. O, Panie,
Znany ci księcia gwałtowny charakter,
Jego zaciętość, jego nieugiętość
W postanowieniach, które raz poweźmie.

Król Lir. Do wszystkich śmierci, plag i pomst! Gwałtowny
Jego charakter? Glosterze, Glosterze,
Ja chciałem widzieć się z Kornwalskim księciem
I z jego żoną.

Gloster. Tak, Łaskawy Panie,
Uwzględniłem ich.

Król Lir. Uwzględniłeś!
Człowieku, czy ty rozumiesz, co mówię?

Gloster. Jak najzupełniej, Miłościwy Panie.

Król Lir. Król chciał się widzieć z księciem; stary ojciec
Z swą własną córką; żąda od niej usług.
Uwzględnił oni byli o tem?
Tchu mi brak, krew mi wre. Gwałtowny książę?
Powiedźże temu gwałtownemu księciu...
Ale nie, czekaj; może on i chory,
W niemocy zwykle zaniedbuje człowiek
Tych obowiązków, których, zdrowym będąc,
Ściśle dopełnia; nie jesteśmy sobą,
Gdy w przygnębieniu naszego jestestwa
Duch nasz skazany na cierpienie z ciałem.
Nie chcę przesądzać; uniosłem się może
Niesprawiedliwie, biorąc chorobliwe
Uspokojenie za niechęć zdrowego.

(Spojrzawszy na Kenta).

Przekleństwo! za co ten człowiek tu siedzi?
Jawny w tem dowód, że ten wyjazd księcia
I jej jest tylko podstępem kuglarstwem.
Wyzwólcie go z tych pęt. Idź, powiedz księciu
I jego żonie, że chcę mówić z nimi
I to natychmiast; powiedz, żeby przyszli
I wysłuchali mnie: inaczej, każe
U drzwi ich izby póty w trąbę walić,
Aż im wytrąbi: »zaśpijcie się na śmierć«.

Gloster. Radbym harmonię widzieć jak najlepszą
Między Waszemi Cześćmi.

(Wychodzi).

Król Lir. Biada tobie,
O, moje serce! moje wrzące serce!
Ale siedź cicho!

Błazen. Gadasz do serca, wujaszku, jak owa kucharka do
węgorzy, kiedy je żywcem w pasztet włożyła; uderzyła
je po łbach kijem i zawołała: »siedźcie cicho, figla-
rze!« Rodzonym jej bratem był ten, co to, jedynie
przez dobroć serca, siano swym koniom masłem po-
smarował.

(Wchodzi: księżę Kornwalii, Regana, Gloster i orszak).

Król Lir. Dzień dobry wam obojgu.

Ks. Kornwalii. Cześć Wam, Panie.
(Zdejmują dyby z Kenta).

Regana. Miło mi Waszą Wysokość oglądać.

Król Lir. Tak sędzę; sądzić tak, mam nie zły powód;

Gdyby inaczej było, wziąłbym rozwód
Z grobem twej matki, któryby pokrywał
Cudzołożnicę. *(Do Kenta).* A! jesteś już wolny;
O tem na potem. Ladaco masz siostrę,
Moja Regano, wraziła mi ona
Ząb niewdzięczności w serce, jak szpon sępa,
Nie wydam tego w słowach; nie uwierzysz,
Jak jej przewrotny umysł... O, Regano!

Regana. Miarkujcie, Panie, swą porywczosć. Tuszę,
Żeście wy raczej mniej zdolni ocenić
Jej wewnętrzną wartość, niż ona uchybić
Swym obowiązkom.

Król Lir. He? jak to rozumiesz?

Regana. Nie mogę myśleć, aby moja siostra
W najmniejszej części miała wyjść ze szranków
Swej powinności. Jeżeli, przypuszczam,
Chciała ukrócić niesforną swawolę
Twego orszaku, Panie, miała k'temu
Tak dobry powód i cel tak zbawienny,
Że to oddała od niej wszelki zarzut.

Król Lir. Przekleństwo moje niech ją wiecznie ściga!

Regana. O, Panie, jesteś stary; władze twoje
Już dobiegają mety: powinienbyś
Dać się prowadzić i kierować komuś
Z świeższym umysłem, któryby był zdolny
Dobro twe lepiej, niż ty sam, rozpoznać.
Proszę cię przeto, powróć do mej siostry
I powiedz, żeś ją skrzywdził.

Król Lir. Ja ją prosić
O przebaczenie? Czyżeś pomyślała,
Jakby to ojca powadze przystało,
Pójść i z pokorą do niej się odezwać:
»Kochana córko, przyznaję, żem stary;
Starość nie radość; na kolanach błagam,
Abyś mi dała karm', odzież i schronę«?

Regana. Dość tego, drogi Panie; to są tylko
Przesadne treny! Wróc się do mej siostry.

Król Lir. Nigdy, Regano. Ona mi zmniejszyła
Mój wierny orszak do połowy; krzywo
Na mnie patrzała; ona swym językiem
Jak wąż mi nawskroś rozraniła serce.
Niech wszelkie pomsty niebios spadną razem
Na jej niewdzięczną głowę! Niech zjadliwe
Powietrzne wpływy na jej młode kości
Niemoc sprowadzą!

Ks. Kornwalii. Wstydź się, wstydź się, Panie.

Król Lir. Zlejcie ślepiący wasz blask, błyskawice,
W jej wzrok wzgardliwy! Zaraźcie jej piękność,
Wy miazma, które z błot wyciąga słońce,
Skażcie i strawcie jej wdzięki!

Regana. O, nieba!
Tak samo będziesz mnie złorzeczył, Panie,
W nowym przystępie gniewu.

Król Lir. Nie, Regano,
Ciebie przekleństwo me nie dotknie nigdy;
Twoja natura tkliwa i wrażliwa
Na mój gniew nigdy nie narazi ciebie;
Jej oczy zioną ogień, twoje grzeją,
Ale nie palą. Tybyś nie umiała
Upodobaniom moim się sprzeciwiać,
Zmniejszać mi służbę, miotać harde słowa,
Skąpić mi kęsa strawy, a na domiar
Ryglem zastawiać się przed mem przebyciem;
Ty znasz powinność dziecka, głos natury,
Winną uprzejmość, wdzięczność przynależną;
Nie zapomniałaś, żem ci dał na wiano
Połowę mego państwa.

Regana. Ależ, Panie,
Przystąp do rzeczy.

Król Lir. Kto śmiał w dyby wsadzić
Mojego sługę? (Odgłos trąb).

Ks. Kornwalii. Co znaczą te trąby?
(Wchodzi Oswald).

Regana. To trąby mojej siostry: potwierdzają,
Co mi pisała, że wkrótce tu będzie!
(Do Oswalda).

Czy przyjechała twoja pani?

Król Lir. Ten to
Hardy niecnota, zuchwały pyszałek,
Którego buta jak purchatka rośnie
Na płytkim gruncie łask tej, której służy.
Precz z moich oczu!

Ks. Kornwalii. Co Wasza Wysokość
Raczyła mówić?

Król Lir. Kto mojego sługę
W dybach osadził? Spodziewam się przecie
Żeś ty, Regano, o tem nie wiedziała.
(Wchodzi Goneryla).

Co widzę? O, wy litościwe bogi,
Jeśli sprzyjacie starcom, jeśli wasze
Łaskawe rządy cenią posłuszeństwo,
Jeżeli sami jesteście starymi,
To się ujmijcie za mną i ześlijcie
Znak współudziału swego w mojej sprawie.
(Do Regany).

Czy się nie wstydzisz, patrząc na tę brodę?
I ty ją bierzesz za rękę, Regano?

Goneryla. Dlaczegożby mię za nią brać nie miała?
Cóżem ja, Panie, uczyniła złego?
Nie wszystko bywa złem, co nierozsądek
Za złe uważa, dziecinność złem mieni.

Król Lir. O, moja piersi, z jakiegożes kruszcu,
Żeś jeszcze cała? — Jakim się sposobem
Mój człowiek dostał w dyby?

Ks. Kornwalii. Jam go, Panie,
Kazał w nie wsadzić; lecz postęпки jego
Zasługiwały na surowszą karę.

Król Lir. Waćpan się tego dopuściłeś? Waćpan?

Regana. Proszę cię, miły ojcze, będąc słabym,
Nie chciej się innym wydawać na zewnątrz.
Jeżeli wrócisz nazad do mej siostry
I będziesz u niej do końca miesiąca,
Połowę świty swojej odprawiwszy,
Sprowadź się potem do mojego domu.

Nie jestem teraz u siebie i brak mi
Zaopatrzenia w zapasy potrzebne
Na utrzymanie twoje.

Król Lir. Wrócić do niej?
I pięćdziesięciu ludzi mych odprawić?
Nie, wolę raczej zrzec się całkiem strzechy,
Walczyć z wszelkimi zmianami powietrza;
Żyć w towarzystwie sów i wilków, jęcząc
Pod ostrym zębem nędzy. Wrócić do niej!
Z równą łatwością przeniósłbym na siebie,
Żeby się udać do tego Francuza,
Z krwią wrzącą, który me najmłodsze dziecko
Wziął bez posagu, upaść na kolana
Przed jego tronem i na wzór pacholka
Błagać o jurgielt, bym mógł nadal marny
Wieść żywot. Wrócić do niej! Radź mi raczej
Zostać parobkiem i jucznem bydłem
Tego fagasa. (*Wskazuje na Oswalda*).

Goneryla. Uczyń, jak chcesz, Panie.

Król Lir. O, moja córko, nie chciej, bym oszalał.
Nie będę tobie ciężarem; bądź zdrowa!
Już się nie ujrzym, nie spotkamy z sobą.
Tyś jednak mojem ciałem, tyś krwią moją,
Mojem dziecięciem — nie, raczej chorobą
W mem ciele, którą muszę mienić moją
Narością raczej, wrzodem, karbunkułem,
Z krwi mej zepsutej powstałym. Nie będąc
Jednak złorzeczył; — niech uczucie wstydu
Przyjdzie, gdy zechce; ja go nie przyzywam,
Nie proszę władzy gromu, by uderzył,
Ni skargi na cię przed tron jego składam.
Wejdz w siebie, popraw się, jeżeli możesz,
Będę cierpliwie czekał tej przemiany;
Tymczasem mogę mieszkać u Regany,
Z poczem rycerstwa mego.

Regana. Nie tak bardzo.
Jam jeszcze na to nie liczyła; jeszcze
Nie jestem, Panie, tak, jakby przystało,
Przygotowaną na twoje przyjęcie.
Słuchaj, co siostra mówi; bo kto patrzy
Rozsądnem okiem na tve uniesienie,
Ten musi sobie powiedzieć, żeś stary,
A zatem... ale ona wie, co robi.

Król Lir. Czy to z namysłem powiedziane?

Regana. Mogę-ć

Zapewnić, Panie. Pięćdziesięciu ludzi!
Czy to nie dosyć? Na co ci ich więcej?
A nawet tyle, gdy koszt, a co gorsza
Niebezpieczeństwo przemawiają przeciw
Tak wielkiej liczbie? Czyżby w jednym domu
Taka moc ludu pod dwoistym rządem
Mogła żyć w zgodzie? Trudnem-by to było,
Do osiągnięcia nawet niemożliwym.

Goneryla. Czyliżbyś nie miał, Panie, dostatecznej
Obsługi od jej ludzi lub od moich?

Regana. Zapewne; gdyby zaś który z nich chybił,
Naówczasbyśmy mogły go ukarać.
Jeżeli zechcesz do mnie przybyć, Panie,
Proszę cię bardzo (teraz bowiem widzę
Niebezpieczeństwo), przywiedź z sobą tylko
Dwudziestu pięciu ludzi: większej liczby
Nie będę mogła zmieścić ni opatrzeć.

Król Lir. Dałem wam wszystko...

Regana. I w właściwą porę.

Król Lir. Siebie i mienie me wam powierzyłem,
Z warunkiem, abym przy sobie zachował
Tych stu rycerzy. Jakto! Mogęż tylko
Przybyć do ciebie z dwudziestu pięcioma?
Takżeś mówiła, Regano?

Regana. Tak, Panie;
Powtarzam jeszcze raz i na tem kończę.

Król Lir. Tak szpetne monstra mogą się jednakże
Obok szpetniejszych wydawać pięknymi!
Nie być najgorszym, jest to już zaletą
W zepsuciu tego świata.

(*Do Goneryli*).

Pójdę z tobą.

Twoje pięćdziesiąt jest w dwójnasób większe,
Niż jej dwadzieścia pięć, i twoja miłość
W dwójnasób większą jest od jej miłości.

Goneryla. Słuchaj mię, Panie: na co ci koniecznie
Dwudziestu pięciu ludzi mieć przy sobie,
Dziesięciu nawet, a wreszcie i pięciu,
W domu, gdzie dwakroć tylu czekać będzie
Na twoje rozkazy?

Regana. Na co i jednego?

Król Lir. O, nie rozumuj o ścisłej potrzebie.
Ostatni żebrak ma jeszcze w swej nędzy
Coś zbyt kownego. Nie dawaj nikomu
Więcej, niż tego natura wymaga;
Życie człowieka takie, jak bydłęce.
Ty pani, strojnie chodzisz; czyż jedynie
Dlatego strojnie chodzisz, że strój grzeje?
Do utrzymania życia czyż potrzeba
Tych strojów, które ciepła dać nie mogą?
O, co się tyczy prawdziwej potrzeby,
Bogowie, dajcie mi cierpliwość! Tej ja
Przed wszystkim innem potrzebuję. Patrzcie,
Oto tu stoi biedny starzec, wiekiem
I cierpieniami równie przygnieciony,
Dwukroć nieszczęsny. Jeśli to wy serca
Tych córek przeciw ojcu podniecacie,
Nie chcecie, abym to łagodnie znosił,
Słusznym zapalcie mię gniewem, nie dajcie
Wodnistym kropłom, tej niewieściej broni,
Męskich lic moich kazić. Nie, potwory,
Wywrę ja na was zemstę taką, taką,
Że się świat cały — zrobię coś takiego,
Że — nie wiem jeszcze co; będzie to jednak
Coś okropnego, strasznego. Myślicie,
Że płakać będę, nie, nie będę płakał.
Mam wprawdzie nadmiar powodów do płaczu,
Ale to serce zdruzgoce się prędzej
Na milionowe części, nim zapłacę.
O, głupiec! blizki jestem oszalenia.

(Wychodzą: król Lir, Gloster, Kent i Błazen).

Ks. Kornwalii. Pójdźmy stąd, burza będzie.
(Słychać grzmot w oddali).

Regana. Dom ten mały:
Nie zmieści tego starca z jego świtą.

Goneryla. Sam sobie winien; zatrutł sobie spokój
I znosić musi skutki swej głupoty.

Regana. Jego samego chętniebym przyjęła
Ale żadnego z jego zauszników.

Goneryla. I ja toż samo. Gdzie jest milord Gloster?
(Gloster wraca).

Ks. Kornwalii. Poszedł za starcem. Lecz oto powraca.

Gloster. Król zagniewany jest w najwyższym stopniu.

Ks. Kornwalii. Dokądże jedzie?

Gloster. Każe na koń siadać,
Lecz dokąd udać się zamierza, nie wiem.

Ks. Kornwalii. Najlepiej wolną zostawić mu drogę,
Skoro sam chce się prowadzić.

Goneryla. Milordzie,
Nie proś go przecie, aby tu pozostał.

Gloster. Niestety, noc się zbliża, ostry wicher
Rażąco ryczy; na kilka mil w koło
Ledwie się krzak gdzie znajdzie.

Regana. Trudna rada;
Kto jest upartym, panie, temu bieda,

Którą niebacznie sam sobie gotuje,
Musi być szkołą. Każ pan zamknąć bramy:

Ma on garść ludzi na wszystko gotowych,
A co ta gawiedz mogłaby mu poddać,

Bacząc na jego łatwość do namowy,
Temu roztropność każe nam zapobiedz.

Ks. Kornwalii. Tak, tak, każ, hrabio, pozamykać bramy.
Burza tuż, schrońmy się, skoro dach mamy.
(Wychodzą).

AKT TRZECI.

SCENA I.

Dzika okolica. Burza, grzmoty i błyskawice.

(Kent i jeden z rycerzy Lira wchodzą z przeciwnych stron).

Kent. Kto tu jest, oprócz burzy?

Rycerz. Człowiek, również
W najwyższym stopniu wzburzony.

Kent. Poznaję-ć.
Gdzie król?

Rycerz. W zapasach ze wściekłym żywiołem.

Zaklina orkan, by ziemię zwał w morze

Lub podniósł morze na zalanie ziemi;

By wszystko mogło zmienić się lub przepaść.

Wyrywa sobie biały włos, któremu

Szalony wicher, miecąc nim z bezwzględnością

Natarczywością, zdaje się urągać.

Chce on w swym małym ludzkim świecie wzgardą

Przewyższyc wzgardę wiatrów i ulewy.
W tę noc, gdy w głębi swego matecznika
Chętnie wyssana niedźwiedzica leży,
Gdy lew i głodny wilk od przemoknięcia
Rad zabezpiecza skórę: on harcuje
Z odkrytą głową i wyzywa wszystko,
Coby się mogło zdarzyć.

Kent. Któż jest przy nim?

Rycerz. Nikt, oprócz błazna, który usiłuje
Żartami ulżyć ranom jego serca.

Kent. Znam cię, rycerzu, i na mocy tego,
Co wiem o tobie, nie waham się ważną
Rzecz ci poruczyć. Pomiędzy zięciami
Króla, albańskim i kornwalskim księciem,
Panuje skryte rozdwojenie, skryte,
Bo obaj jeszcze kryją mu oblicze
Maską chytrości. Mają oni sługi
Niby przychylne (i któż nie ma takich,
Kogo szczęśliwa gwiazda w górę wzniosła
I posadziła na tron), sługi, mówię,
Co są szpiegami francuskiego króla
I wiedzą, co się dzieje: jaka niechęć
Rozdziela książąt i co wzajem knują,
Jak ciężkie jarzmo wtłoczyli na tego
Zacnego króla, i o innych rzeczach,
Które tkwią głębiej, a do których może
Wszystko poprzednie było tylko wstępem.
Co wszakże pewnem jest, to to, że z Francyi
Przybywa wojsko w ten kraj skołatany.
Już ono, mądrze korzystając z naszej
Opieszalności, umiało się dostać
Do kilku naszych portów i niebawem
Sztandar rozwinię. — Słuchajże, rycerzu:
Jeżeli moim słowom tak dalece
Zaufać zechcesz, że się śpiesznie udasz
Do Dowru, znajdziesz tam kogoś, co wielce
Będzie ci wdzięcznym, gdy mu wiernie skreślisz
Ten do szaleństwa przywodzący ucisk,
Jakiego król doznaje. Jestem, panie,
Szlachcicem czystej krwi i na zasadzie
Pewnych rękojmi, jakie co do ciebie
Posiadam, tobie powierzam tę czynność.

Rycerz. Pomówim o tem później.

Kent. Nie, nie później.

Byś się przekonał, że jestem czemś więcej,
Niż się wydaję, weź ten trzos, rycerzu,
I przyjm ode mnie to, co się w nim mieści.
Skoro zobaczysz Kordelię (a nie wątp,
Że to nastąpi), pokaż jej ten pierścień,
A ona-ć powie, co to był za jeden,
Co mówił z tobą. — Cóż to za szturm! Idę
Poszukać króla.

Rycerz. Daj mi rękę, panie.

Nie masz-li więcej nic do powiedzenia?

Kent. Idź waćpan w tamtą stronę, ja w tę pójdę;
Komu się uda pierwej znaleźć króla,
Ten niech drugiemu krzyknie: hop!

(Wychodzą w przeciwne strony).

SCENA II.

Ta sama okolica w innej stronie. Burza nieustająca.

(Wchodzą: król Lir i Błazen).

Król Lir. Dmijcie, wichryzyska, aż wam miechy pękną!

Dmijcie, wściekajcie się! Plujcie powodzią
Wy, katarakty, i wy, uragany,
Aż zatopicie wieże po szczyt kopuła!
Wy, siarką tchnące, jak myśl chyże błyski,
Zwiastuny dęby druzgocących bełtów,
Osmalcie biały mój włos! a ty, gromie
Wszystko niszczący, spłaszcz twarde krąg świata,
Zgnieć wszelkie kształty przyrodzenia, zniwecz
Wszelkie zarody niewdzięcznej ludzkości!

Błazen. O, wujaszku, jałowcówka we dworze lepsza, niż
deszczówka na dworze. Kochany wujaszku, wejdź do
izby i proś córek o błogosławieństwo; jest to jedna
z tych nocy, co ani nad mędrcom, ani nad głupcem
nie mają litości.

Król Lir. Grzmijcie pioruny! lej, dżdzu! pryskaj, ogniu!

Deszcz, wiatr, grom, ogień, to nie moje córki.
Ja was, żywioły, nie winię o srogość:
Nic wam nie dałem, nie zwałem was dziećmi;
Wy obowiązków względem mnie nie macie:
Ciągnijcie dalej swe straszne igrzyska.

Oto tu stoję, jako wasz niewolnik,
Ja, starzec biedny, słaby i wzgardzony,
A przecież wręcz was mienię służalcami,
Bo, pomagając dwom wyrodnym córkom,
Zastępy swoje, z górnych sfer wiedzione,
Zwracacie przeciw takiej jak ta głowie,
Starej i siwej. O! o! to niegodnie!

Błazen. Dobry ma szturmak, kto ma dom, gdzieby przed
szturmem wścibił głowę.

Gdy serce ma swój dom,
Nim głowa ma takowy,
Na budę zda się psom
Los serca i los głowy.
A kto swym piętom da
To, co miał sercu dać,
Nagniotki w zysku ma
I czuwa zamiast spać.

Taka to prawda, jak to, że niema pięknej kobiety,
coby się nie mizdrzyła przed zwierciadłem.

Król Lir. Nie, będę odtąd wzorem cierpliwości;
Nic już nie powiem.

(Wchodzi Kent).

Kent. Kto tu?

Błazen. Wspaniałomyślność i jej towarzysz, to jest mę-
drzec i błazen.

Kent. Ach! Wy tu, Panie? Twory, co noc lubią,
Nie lubią przecie takiej: ten gniew niebios
Zapędza nawet wędrowców ciemności
Do ich kryjówek. Odkąd jestem mężem,
Nie przypominam sobie, abym kiedy
Był świadkiem takich ognistych wybuchów,
Takiego huku piorunów, takiego
Wycia i ryku wichrów i ulewy.
Ludzka natura nie może wytrzymać
Podobnej chłosty i zgrozy.

Król Lir. Bogowie,
Co tak okropnie wrzecie ponad nami,
Wynajdźcie teraz swych wrogów. Drżj, zbrodniu,
Co w sobie nosisz tajone przestępstwa,
Których nie dosięgnął bicz sprawiedliwości.
Ukryj się, krwawa ręko; wiarołomco,
I ty, świętoszku, co płaszczykiem cnoty
Osłaniasz czyny kazirodne, truchlej.

Krusz się na części, szalbierzu bez serca,
Coś pod uprzejmym i gładkim pozorem
Godził na ludzkie życie. Wy, głęboko
Zamknięte winy, rozsądźcie swą uwięź
I żebrzcie łaski tych strasznych mścicieli.
Co do mnie, więcej względem mnie zgrzeszono,
Niż sam zgrzeszyłem.

Kent. Ach! Wy z gołą głową!

Łaskawy Panie, jest tu podle kletka,
Co-ć jaką taką da schronę przed burzą.
Spocznij tam; ja zaś pójdę zakołatać
Do tego domu twardszego niż głazy,
Z których wzniesiony został, a którego,
Gdym się o ciebie dowiadywał, świeżo
Zamknięto bramy przede mną. Spróbuję,
Może mi uda się wymódz tym razem
Choć skąpą litość.

Król Lir. W głowie mi się miesza. —
Pójdź, chłopcze. Jakże się czujesz, mój chłopcze?
Zimno ci? I mnie zimno. Gdzie ta kletka?
Dziwna jest własność braku: on nam może
Najlichszy przedmiot uczynić szacownym. —
Pójdźmy do owej kletki. Biedny błaznie,
Jeszcze mi częśćka serca pozostała,
I ta boleje nad tobą.

Błazen *(śpiewa).*

U kogo rozum gra rolę poślednią,
Ten musi śpiewać wśród dżdzu i zawiei,
Zgadzać się z losem, gdy mu się nie klei:
Boć przeciwności są rzeczą powszednią.

Król Lir. Prawda, mój chłopcze. —

(Do Kenta).

Pójdź, wskaż nam tę kletkę.

(Wychodzi z Kentem).

Błazen. To mi noc, zdolna ochłodzić najgorętszą babę. —
Powiem jedno prorocstwo, nim pójdę:
Gdy księdza poznasz z dzieł, nie słów wyvodu;
Piwowar wodą psuć nie będzie słodu;
Szlachta pożyczać będzie w dobrej wierze;
Gdy lica płonąć będą, nie kacerze;
Gdy sędzia żadnych brać nie będzie danin;
Bez długów będzie i pan i dworzanin;
Gdy złość porzuci swoje kręte ścieżki;

W ciżbę nie będą wchodzić rzezimieszki;
Lichwiarze w polu liczyć będą wory,
A nierządnicę fundować klasztory:
Wtedy przyjdzie do gomonu
W wielkim państwie Albionu;
Wtedy czas przyjdzie, że modą dziwną,
Na nogach u nas ludzie chodzić zaczną.
Przekazuję to prorocstwo Merlinowi, który ma przyjść
po mnie. (Wychodzi).

SCENA III.

Pokój w zamku Glostera.

(Gloster i Edmund).

Gloster. O, Edmundzie, nienaturalny ten postępek oburza mnie. Gdym ich prosił, aby mi pozwolili nad nim się zmiłować, odjęli mi prawo użytkowania z własnego mego domu; pod karą wiecznej niełaski zabronili mi mówić o nim, wstawiać się za nim i wspierać go w jakibądź sposób.

Edmund. Co za srogość naturze przeciwna!

Gloster. Cicho, cicho; nie mów nic o tem, co ci powiem. Książęta nasi są z sobą na bakier, nawet na gorszej jeszcze stopie. Odebrałem tej nocy list — niebezpieczna rzecz o tem mówić — schowałem ten list w moim gabinecie. Ciężkie krzywdy, jakie król teraz ponosi, będą spełna pomszczone. Część wojska już wylądowała. Trzeba nam stać po stronie króla. Pójdę go wyszukać i wesprzeć potajemnie. Idź ty do księcia i zabaw go rozmową, aby ten mój krok miłosierny uszedł jego oka. Jeżeli się o mnie zapyta, powiedz mu, że mą słabł i poszedł do łóżka. Chociażbym miał śmiercią to przypłacić, jak mi tem i zagrożono, muszę dać pomoc memu staremu panu. Ważne się rzeczy gotują. Proszę, cię, Edmundzie, bądź ostrożny.

(Wychodzi).

Edmund. O tem współczuciu książę, z przeproszeniem,
Dowie się zaraz i o liście także.
Będzie to, sądzę, zasługą nielada
I płodną w skutki: co ojciec postrada,

Tem niezawodnie książę mnie obdarzy.
Wznoszą się młodzi, gdy padają starzy.
(Wychodzi).

SCENA IV.

Dzika okolica. Lepianka na boku. Burza nieustająca.

(Wchodzi: król Lir, Kent i Błazen).

Kent. Tu jest ta chata, wnijdź, kochany Panie;
Żadna żyjąca istota nie zniesie
Takiej tyrańskiej nocy.

Król Lir. Daj mi pokój.

Kent. Wnijdź do tej chaty, Miłościwy Panie.

Król Lir. Czyś się ty zawziął na mnie?

Kent. O, wolałbym

Na siebie raczej. Wnijdź, kochany Panie.

Król Lir. Tobie to bardzo zdaje się dotkliwym,
Że nas ta wściekła burza wskroś przemacza;

Ale gdzie większa dokucza choroba,

Tam mniejszej prawie się nie czuje. Zadrzysz

Wobec niedźwiedzia i uciekniesz przed nim;

Ale, jeżeli uciekając, trafisz

Na zbałwanione morze, wtedy chętnie

Popatrzysz oko w oko niedźwiedziowi.

Gdy duch spokojny, wtedy ciało czułe;

Burza w mej duszy mym zmysłem odbiera

Uczucie wszelkie, nie czuję nic, tylko

To, co nurtuje tu: niewdzięczność dzieci.

Czyliż to nie tak, jak gdyby te usta

Gryzły tę rękę, za to że im hojnie

Karm' podawała? — O, ależ je skarzę! —

Nie, już nie będę płakał. — W taką porę

Wypchnąć mnie! — Niechaj leje, nic nie szkodzi. —

W taką noc! — O, Regano! Gonerylo! —

Starego ojca, co w dobroci serca

Wszystko wam oddał. — Och! och! na tej drodze

Grozi szaleństwo; muszę jej unikać;

Dość tego.

Kent. Drogą Panie, wejdz do chaty.

Król Lir. Wejdz ty sam, proszę cię; dbaj sam o siebie.

Ta burza nie da mi myśleć o rzeczach

Gorzej trapiących. — Pójdę ja tam potem...

(Do błazna).

Wejdź ty wprzód, chłopcze. Ty bezstrzeszna biedo,
Idź, schroń się. Ja się pomodłę i zasnę.

(Błazen wchodzi do chaty).

Nadzy biedacy, w którejbądź wy stronie

Znosicie ostre pociski powietrza,

Jak mogą wasze głowy bez okrycia,

Wasze od głodu wycieńczone członki,

Pod rozpadłymi łachmanami, obstać

Wśród takiej jak ta burzy? O, jak mało

Myślałem o tem dotąd! Weź lekarstwo,

Królewski zbytku, doświadczyć dobrowolnie

Co czuje nędza, byś jej zstrząśł swój nadmiar

I z winy obmył sprawiedliwość niebios!

Edgar *(w chacie)*. Półtora sążnia! półtora sążnia! Biedny

(Błazen wybiega z chaty). [Tomek.

Błazen. Nie wchodzi tam, wujaszku; tam duch siedzi. Na pomoc! na pomoc!

Kent. Dajno mi rękę. — Kto tam jest?

Błazen. Duch, duch; nazywa siebie biednym Tomkiem.

Kent. Co ty za jeden, co tam mruczysz w słomie? Wyjdź!

(Wchodzi Edgar, przebrany za waryata).

Edgar. Biada mi! zły wróg przyszedł mię dręczyć! —

Przez ostre ciernie wieje wiatr zimny. —

Brr! idź do łóżka i rozgrzej się.

Król Lir. Czyś ty twe całe mienie oddał córkom,

I stąd przyszedłeś do takiego stanu?

Edgar. Nie dacie tam czego biednemu Tomkowi, którego zły wróg prowadził przez rozżarzone węgle i płomie- nie, przez fale i prądy, przez bagna i trzęsawy; któ- remu podłożył noże pod poduszkę, zastawił żelazka pod ławą, wrzucił do rosołu pigułki na szczury; któremu wbił w głowę, żeby na bystrym rumaku jechać przez kładki na cztery cale szerokie i ścigać cień własny, jak zdrajcę. — Pokój waszym pięciu klepkom! — Tomkowi zimno! brr! Niech was bogowie chronią od złych wia- trów, złych gwiazd i złych wyziewów! Dajcie wspo- możenie biednemu Tomkowi, któremu zły wróg doku- kucza. Oto go teraz macie tu — oto tam — i owdzie — i tam znowu i tam.

Król Lir. Czy go do nędzy tej córki przywiodły? —

Nie ocaliłeś nic? Wszystkoż im dałeś?

Błazen. Owszem, zachował sobie płachtę; inaczejbyśmy wstydzili się musieli za niego.

Król Lir. Niechajże wszelkie plagi, na skaranie

Występków ludzkich w powietrzu wiszące,

Spadną na twoje córki!

Kent. On nie ma córek, Miłościwy Panie.

Król Lir. Zdrajca, kto przeczy! Nic nie może wprawić

Ludzkiej istoty w takie poniżenie,

Tylko niewdzięczne córki. Czy to teraz

Jest modą, żeby wygnani ojcowie

Tak się pastwili nad swem własnem ciałem?

Słuszna pokuta! Czyliż nie to ciało

Tym pelikana córkom życie dało?

Edgar. Cierp, ciało, kiedy ci się chciało. — Holala! holala!

Błazen. Ta noc wykieruje nas wszystkich na błaznów i na waryatów.

Edgar. Strzeżcie się złego wroga, słuchajcie rodziców; do-

trzymujcie słowa; nie klnijcie; nie nakłaniajcie niewiast

do grzechu; nie wbijajcie w pychę serc waszych. —

Tomkowi zimno.

Król Lir. Czemeś ty był, człowieku?

Edgar. Gachem, zalotnikiem; z fumami w głowie i w sercu;

co sobie włos trefił, rękawiczki nosił u kapelusza, do-

gadzał chęciom damy swego serca; co tyle przysiąg

ile słów nagadał, a wszystkie złamał w oczach nieba;

co zasypiał, układając rozkoszne plany, a budził się,

aby je wykonać. Wino wściekle lubiłem; grę w kości

szalenie, a przy kobietach zakasowywałem sułtana. By-

łem gnuśny, jak wieprz; układny, jak lis; żarłoczny,

jak wilk; lubieżny, jak pies; jak lew, chciwy zdobywcy.

Niech skrzypienie trzewików lub chrzęst jedwabnych

sukien, zapowiadając zbliżanie się: kobiety, nie czyni

oskomy biednemu twemu sercu; niech noga twoja nie

tyka fryerskich progów, ręka twoja podwiki, pióro

twoje weksłów: a zły wróg nic ci nie robi. — Cią-

gle przez ciernie wieje wiatr zimny, świszcz: gwiiii,

biada! — Delfinie, mój synu, puść ich, niech przejadą!

(Burza trwa ciągle).

Król Lir. Biedaku, lepiejby ci być w grobie, niż z tak

obnażonem ciałem znajdować się w tej nawałnicy. —

Czyliż człowiek jest tylko tem? niczem więcej? Przy-

patrzcie mu się. On robakowi nie winien jedwabiu,

owcy wełny, piźmowcowi pachnidła. My trzej jesteśmy

zamalgamowani, on jest czystym metalem. Człowiek właściwy niczem więcej nie jest, jak takim biednym, nagiem, dwunożnym zwierzęciem. — Precz, pożyczone przydatki! — Pójdźcie mnie rozpiąć, hej!

(Zdziera z siebie szaty).

Błazen. Proszę cię, wujaszku, uspokój się; nie dobra to noc na kąpiel. — Terazby mały ogień w polu był tem, czem serce starego zalotnika: mała iskierka, a reszta ciała zimna. — Patrzcie, oto się zbliża chodzący ogień.

Edgar. To zły wróg, Flibbertygibet; zaczyna on swoje wędrówki równo z odgłosem wieczornego dzwonu, a kończy z pierwszym zapianiem kura; sprowadza na oczy łuszczyki i skałki; spojrzawszy zezem, rozszczepia ludziom wargi w kształt zajęczych; rzuca śnieć na białą pszenicę i męczy biedne ziemskie stworzenia.

Święty Witalis szedł polnym szlakiem,
Wtem spotkał zmoreę z jej sióstr orszakiem;

Więc krzyknął jej:

Hej! z drogi hej!

A kysz! a kysz! a kysz!

(Wchodzi Gloster z pochodnią).

Król Lir. Kto to jest?

Kent. Ktoś ty? i pocoś tu przyszedł?

Gloster. Kto wy jesteście! Jakie wasze miana?

Edgar. Jam biedny Tomek, co jada żaby, ropuchy, kijanki, jaszczurki ziemne i wodne; co przywiedziony do rozpaczy, gdy mu zły wróg dopieka, łajna je zamiast sałaty; pożera stare szczury i zdechłe sobaki; spija zieloną śmietankę ze stojących kałuż; co bywa przepędzany od gminy do gminy, biczowany, kuty w dyby i więziony; co miał kiedyś trzy suknie na skrycie grzbietu, sześć koszul na okrycie ciała, konia do jazdy i miecz do przypasania.

Lecz myszy, szczury i inne robaki,

Te, od lat siedmiu, są Tomka przysmaki.

Strzeżcie się mego prześladowcy. Cicho, Smolkin! cicho, wrogu!

Gloster. O, Panie, także twoje towarzystwo?

Edgar. Książę ciemności jest szlachcicem; nazywa się Modo i Mahu.

Gloster. Nasza krew, Panie, tak się zbezczeszczyła,
Że jej musimy kłać.

Edgar. Tomkowi zimno.

Gloster. Pójdź, Miłościwy Panie. Moje serce
Nie może uleść woli twoich córek.

Choć mi kazały zamknąć bramy zamku

I pozostawić cię na łup tej nocy

Nielitościwej, ważyłem się jednak

Pójść cię wyszukać, bym cię zaprowadził

Tam, gdzie cię czeka ogień i wieczerza.

Król Lir. Niechno pomówię wprzód z tym filozofem.

Co jest przyczyną grzmotów?

Kent. Drogi Panie,

Przyjm tę ofiarę; idź, gdzie cię wzywają.

Król Lir. Chcę wprzód pomówić z tym uczonym Grekiem. —

Powiedz mi, nad czem ty rozmyślasz?

Edgar. Nad tem,

Jak się strzedz wroga i gnębić robactwo.

Król Lir. Pomówmy parę słów na osobności.

Kent *(do Glostera).* Naglij go jeszcze, aby szedł, milordzie;

Zaczyna mu się w głowie mieszać.

Gloster. Nie dziw.

Wyrodne córki pragną jego śmierci.

O, Kencie, zacny Kencie, ty wiedziałeś,

Że to nastąpi; tyś to przepowiadał,

Biedny wygnańcze! — Mówisz, przyjacielu,

Że się królowi w głowie miesza; wierz mi,

Jam także blizki tego. Miałem syna,

Któregom musiał odtrącić od siebie;

Który na moje życie godził, świeżo,

Teraz nieledwie. Kochałem go; nigdy

Syn nie był droższym ojcu: cios ten, bracie,

Zwichnął mi umysł. Cóż to za noc straszna! —

(Burza nie ustaje).

Zaklinam Waszą Wysokość...

Król Lir. O, wybacz! —

Cny filozofie, chciej nam towarzyszyć.

Edgar. Tomkowi zimno.

Gloster. Idź sobie, człowieku,

Do owej budy tam; trzymaj się ciepło.

Król Lir. Pójdźmyż tam wszyscy.

Gloster. Nasza droga tędy

Łaskawy Panie.

Król Lir. Chyba, że z nim razem;

Nie chcę się rozstać z moim filozofem.

Kent. Dogódź mu, hrabio, niech z sobą zabierze
Tego biedaka.

Gloster. Niechże idzie z nami.

Kent. Pójdź waść.

Gloster. Nie mówmy teraz nic — milczenie.

Edgar. Czajld Roland szedł do ciemnej wieży:

Zwykł on być mówić, marszcząc brwi:

Brytańskiej wietrzę zapach krwi.

(*Wychodzą*).

SCENA V.

Pokój w zamku Glostera.

(*Wchodzi ks. Kornwalii i Edmund*).

Ks. Kornwalii. Muszę się na nim zemścić, nim jego dom opuszczę.

Edmund. Kiedy pomyślę, jak to ludzie uważać będą, że uczucie obowiązku przeważało we mnie głos natury, jakiś strach mnie ogarnia.

Ks. Kornwalii. Teraz widzę, że twój brat, Edmundzie, nie zupełnie ze złego serca godził na jego życie; było to raczej skutkiem oburzenia, jakie w nim naganne usposobienie starca obudzało.

Edmund. Jak prześladowczym jest mój los, że muszę prawości mojej żałować! Oto list, o którym mówię, świadczący o jego konszachtach z partją francuską. O, bogdajby ta zdrada nie istniała lub bogdajby nie mnie przypadło o niej donosić!

Ks. Kornwalii. Pójdź ze mną, kochany Edmundzie, do księżnej.

Edmund. Jeżeli osnowa tego listu jest prawdziwą, masz przed sobą ważne zadanie, mości książę.

Ks. Kornwalii. Prawdziwa czy błędna, w każdym razie czyni cię ona hrabią Gloster. Dowiedz się, gdzie jest twój ojciec, aby go można niezwłocznie przytrzymać.

Edmund (*do siebie*). Jeżeli go znajdę niosącego pomoc królowi, tembardziej to wzmocni ciężące na nim podejrzenie. — (*Głośno*). Będę trwał w wiernopoddanych uczuciach, jakkolwiek bolesną będzie walka pomiędzy niemi a uczuciami syna.

Ks. Kornwalii. Posiędziesz przez to moje zaufanie, i życzliwość moja lepsze ci ojcostwo zapewni.

(*Wychodzą*).

SCENA VI.

Izba w dworku folwarcznym w pobliżności zamku.

(*Wchodzą: król Lir, Gloster, Kent, Edgar i Błazen*).

Gloster. Tu lepiej, niż pod gołem niebem. Przyjmijcie, co dać mogę. Postaram się zapewnić wam jakie takie wygody; wkrótce ujrzycie mię z powrotem.

Kent. Wszelka siła ducha ustąpiła w nim miejsca zniecierpliwieniu. — Niech ci bogowie nagrodzą tę uczynność, milordzie!

(*Wychodzi Gloster*).

Edgar. Frateretto woła na mnie i mówi, że Nero łowi ryby w jeziorze państwa ciemności. — (*Do błazna*). Módl się, dobra duszo, i strzeż się złego wroga.

Błazen. Powiedz mi, proszę, wujaszku, czy waryat jest szlachcicem, czy chłopem?

Król Lir. Królem! królem!

Błazen. Chłopem, wujaszku, który ma syna szlachcica, bo waryatem jest taki chłop, co pozwoli, aby jego syn był szlachcicem pierwej, niż on sam.

Król Lir. Żeby się tysiąc jędz rzuciło na nie
Z rozpalonemi żelazami!

Edgar. Zły wróg gryzie mnie z tyłu.

Błazen. Waryatem jest, kto liczy na łagodność wilka, na zdrowie konia, na miłość młodego chłopca i na przysięgi nierządnic.

Król Lir. Tak, dobrze; zaraz przed sąd je zapozwę.

(*Do Edgara*).

Pójdź, siądź w tem miejscu, wieloumny sędzio. —

(*Do błazna*).

Ty, światły panie, siądź tu — No, wilczyce! —

Edgar. Patrz, jak im ślepie się iskrzą! — Gdzież to podziała czoło, piękna pani?

Pójdź, Betsy, za rzeczka Jaś stoi...

Błazen. W jej łodzi szczelina,
Lecz tai dziewczyna,
Dlaczego przepawić się boi.

Edgar. Zły wróg dręczy biednego Tomka głosem słowiczym. Hoberdydas woła w brzuchu Tomka o parę śledzi.

Nie kracz, czarny demonie, nie mam dla ciebie strawy.

Kent. Wyjdź, drogi Panie, z tego odrętwienia;

Możebyś spoczął, położył się?

Król Lir.

Potem,

Wprzód indagacya. Przyprawdźcie świadków. —

(Do Edgara).

Zacny jurysto w długiej todze, zasiądź!

(Do błazna).

A Waćpan, jego szanowny kolego,

Chciej zająć miejsce przy nim. —

(Do Kenta).

Wasza Miłość

Należysz do kompletu; siądźże także.

Edgar. Sądźmy sumiennie.

Śliczna pasterko, powiedz, dlaczego

Owieczki wpuściłaś w zboże?

Daj pocałować ustka twe hoże,

Nic się twej trzódce nie stanie złego.

Pr! kocica bura.

Król Lir. Badajcie naprzód tę: to Goneryla. Zeznaję, prześwieatny sądzie, pod przysięgą, że ona zdeptała wszelkie względy należne królowi, jej ojcu.

Błazen. Przystąp, miledy. Zwiesz się Goneryla?

Król Lir. Nie może temu zaprzeczyć.

Błazen. Wybacz, wziąłem cię za dziurawy stołek.

Król Lir. A to ta druga; krzywe jej spojrzenia

Zdradzają grunt jej serca. — Łapać, łapać! —

Ognia i miecza! — Ha, wy przekupieni!

Przedajny sądzie, pociś jej dał uciec?

Edgar. Poleć bogom swoje pięć klepek!

Kent. O, nędzo! — Gdzież jest owa tęgość ducha,

Którą, ręczyłeś Panie, że zachowasz?

Edgar (na stronie). Łzy moje biorą udział w jego doli,

Tak, że mi trudno dotrwać w mojej roli.

Król Lir. Nawet maleńkie pieski, mops, szpic, daksik,

Szczekają na mnie.

Edgar. Tomek rzuci na nie głową. — A zasię, sobaki!

Czy wasz pysk czarny, czy biały,

Choćbyście wściekle kąsały,

Pudle, muce, wyżły, brysie,

Plemię gończe i kundysie,

Kuse lub z długimi chwosty,

Tomka się lękajcie chłósy;

Bo gdy na was głową ciśnie,

Cała psiarnia się rozpryśnie.

Sasa! fora z dwora! na kiermasze i jarmarki!

Biedny Tomku, twój róg wysechł.

Król Lir. Zanatomizujcie mi Reganę, zobaczcie, co tam siedzi w jej sercu. Czy jest jaka przyczyna w naturze, zdolna taką zatwardziałość sprowadzić? (Do Edgara).

Waszmość pana uważam odtąd jako jednego z moich stu towarzyszy; tylko mi się nie podoba krój waszmościnego munduru. Powiesz może, że to na sposób perki, ale każ go odmienić.

Kent. Połóż się, drogi Panie, spocznij nieco.

Król Lir. Nie róbcie hałasu, nie róbcie hałasu; zaciągnijcie firankę. Tak, tak, tak. Jutro z rana będziem wieczerali; tak, tak, tak.

Błazen. A ja w południe będę spał.

(Gloster powraca).

Gloster. Gdzie król?

Kent.

Tu; zostaw go w pokoju, panie:

Biedak, zupełnie utracił przytomność.

Gloster. Weź go na ręce, pocziwy człowiecze;

Zdradziecki spisek grozi jego życiu.

Mam tu lektykę z sobą; wsadź go do niej

I śpiesz do Dowru, gdzie dobre przyjęcie

I pomoc znajdziesz. Żywo! podnieś pana:

Jeśli się spóźnisz choć o pół godziny,

On, ty i każdy, co go bronić gotów,

Ulegnie pewnej zgubie. Bierz go! żywo!

Dam ci eskortę z ludzi zaufanych;

Śpiesz się.

Kent.

Znękana natura zasnęła. —

Ten wypoczynek może być balsamem

Na twe stargane siły; w braku tego

Ich odzyskanie byłoby zbyt trudnem.

(Do błazna).

Pomóż mi ponieść pana.

Gloster.

Idźmy, idźmy.

(Kent, Gloster i błazen wychodzą, niosąc króla).

Edgar. Gdy lepszych od nas widzim w poniewierce,

Własnych nędz naszych zapomina serce.

Najciężej cierpią ci, co sami cierpią,

Bo znikąd ulgi ni pociech nie czerpią;
Lecz to w cierpieniu znajdzie towarzysza,
Tego się boleść zmniejsza i ucisza.
Mnie znośniej teraz i lżej, gdy niedola,
Co mnie przygniata, przygniata i króla;
On stracił dzieci, ja ojca. No, Tomku,
Idź się znów ukryć w twym chróścianym domku,
I nie wprzód wystąp, aż zdołasz czynami
Zmyć kał potwarzy, co tve imię plami.
Niech się tej nocy jeszcze co chce dzieje,
Byle król uszedł. Baczność! baczność!
(*Wychodzi*).

SCENA VII.

Pokój w zamku Glostera.

(*Ks. Kornwalii, Regana, Goneryla, Edmund i słudzy*).

Ks. Kornwalii (*do Goneryli*). Jedź pani bezzwłocznie do księcia, swego małżonka, i pokaż mu ten list. — Wojska francuskie wylądowały. — (*Do sług*). Przyprowadźcie tu tego zdrajcę Glostera.
(*Kilku sług wychodzi*).

Regana. Każ go natychmiast powiesić.

Goneryla. Wyłupić mu oczy.

Ks. Kornwalii. Zostawcie go memu gniewowi. Edmundzie, jedź z naszą siostrą. Zemsta, którą zniewoleni będziemy wyrzucić na twym przeniewierczym ojcu, nie składa się z twoją tu bytnością. — Znaglijcie księcia za przybyciem do jak najspieszniejszego zbrojenia się; my, z naszej strony, nie zaniedbamy tego. Trzeba, żeby gońcy nasi krążyli bez przerwy i utrzymywali porozumienie między nami. — Bądź zdrowa, kochana siostrzo. Bądź zdrow, milordzie Gloster.

(*Wchodzi Oswald*).

Gdzież jest król?

Oswald. Dzięki milordowi Gloster
Uprowadzony został. Ze trzydziestu
Jego rycerzy, tropiących ślad jego,
Zdybało go u bramy, poczem łącznie
Z kilkunastoma podwładnymi lorda

Udało się z nim do Dowru, gdzie tuszą
Znaleźć przyjaciół dobrze uzbrojonych.

Ks. Kornwalii. Każ przyprowadzić konie swojej pani.
Goneryla. Bywajcie zdrowi, milordzie i siostrzo.
(*Wychodzi, a z nią Edmund i orszak*).

Ks. Kornwalii. Bądź zdrow, Edmundzie. — Wynajdźcie
[mi tego

Zdrajcę Glostera, jak złodzieja zwiążcie
I tu go stawcie. (*Inni słudzy wychodzą*).

Nie możemy wprowadzić
W braku form prawych odebrać mu życia,
Ale moc nasza naszemu gniewowi
Musi dać jakieś zadośćuczynienie,
Które naganić ludzie będą mogli,
Ale bynajmniej pociągnąć nas za to
Do tłómaczenia. — Ha! czy to ten zdrajca?

(*Wchodzi słudzy, prowadząc Glostera*).

Regana. Ten to niewdzięczny lis.

Ks. Kornwalii. Zwiążcie mu ręce.

Gloster. Co to za mowa, Miłościwi Państwo?

Co za obejście? Moi przyjaciele,
Zważcie, że u mnie jesteście w gościnie:
Nie wyrządzajcie mi takiej zniewagi.

(*Słudzy wiążą go*).

Ks. Kornwalii. Wiążcie go!

Regana. Mocno! O, nikczemny zdrajco!

Gloster. Nielitościwa niewiasto, ja nigdy
Zdrajcą nie byłem.

Ks. Kornwalii. Przywiążcie go tutaj
Do tego stołka. Zobaczysz, nędzniku.

(*Regana targa go za brodę*).

Gloster. Na miłość bogów! czyn to nieszlachetny
W najwyższym stopniu, targać mię za brodę.

Regana. Ma taki biały włos, a taki zdrajca.

Gloster. O, niegodziwa kobieto, te włosy,
Coś je nieludzko z brody mej wyrwała,
Powstaną kiedyś i oskarżą ciebie.
Jam wasz gospodarz: nie powinniście
Zbójcecką dłonią tykać mojej twarzy.
Co wy myślicie ze mną czynić?

Ks. Kornwalii. Powiedz,

Co to za listy odebrałeś z Francyi?

Regana. Powiedz poprostu, wiemy już o wszystkim.

Ks. Kornwalii. I jakie związki masz z tymi zdrajcami,
Co świeżo naszli nasze ziemie?

Regana. W czyje
Oddałeś ręce szalonego króla?
Mów.

Gloster. Mam list wprawdzie na domysł pisany
Przez kogoś, co się do niczyjej partyi
Nie miesza.

Ks. Kornwalii. Wykręt.

Regana. I jeszcze niezgrabny.

Ks. Kornwalii. Gdzież to króla wyprawił?

Gloster. Do Dowru.

Regana. Po co do Dowru? Czyś nie był zagrożon?

Ks. Kornwalii. Po co do Dowru? Niech na to odpowie.

Gloster. Muszę znieść szczwanie, jak niedźwiedz u słupa.

Regana. Po co do Dowru?

Gloster. Bo nie chciałem patrzeć,

Jakby mu twoje okrutne paznokcie
Stare nieszczęsne oczy wyłupiały;
Lub jakby twoja siostra swymi kłami
Szarpała jego namaszczone ciało.
Wśród takiej burzy, jaką on wytrzymał,
Z odkrytą głową, w noc czarną jak piekło,
Morze byłoby się spiętrzyło słupem
I pogasiło gwiazdy. A ten biedny,
Pocziwy starzec pomagał dździć niebu.
Gdyby był w taki czas u twojej bramy
Wilk zawył, tobyś była zawołała:
»Odźwierny, otwórz!« Wszelkie dzikie twory,
Prócz ciebie jednej, złagodniały wtedy,
Ale ja jeszcze ujrzę chyżą zemstę
Dosięgającą takie dzieci.

Ks. Kornwalii. Nigdy nie ujrzysz. *(Do sług)*. Przytrzymajcie
[stołek.

Wprzód, nimbyś ujrzał, zdepczę oczy twoje.

(Wyrzywa Glosterowi jedno oko, ciska je na ziemię i depcze).

Gloster. Kto chce późnego wieku się doczekać,
Niech się zmiłuje nade mną! O, bogi!
O, okrucieństwo!

Regana. To dopiero jedno;
Tamto pół twarzy szydziłoby z tego:
Niech lepiej obie strony będą równe.

Ks. Kornwalii. Jeżeli widzisz zemstę...

Jeden sługa. Stój, milordzie!

Od lat dziecinnych jestem twoim sługą;
Nie wyświadczyłem ci jednakże nigdy
Lepszej usługi, jak teraz, wołając:
Stój!

Regana. Co to znaczy, ty plugawy kundlu?

Sługa. Gdybyś miledy miała włos na brodzie,
Hojnyby odwet znalazł się w tej garści.
Co państwo chcecie czynić?

Ks. Kornwalii. A ty, chamie!

(Dobywa miecza i rzuca się na niego).

Sługa. Niechże pomiędzy nami miecz rozstrzyga.

(Dobywa także miecza. Walczą. Księżę zostaje raniony).

Regana *(do jednego ze sług)*. Daj mi miecz. Taki chłop
[śmie tak być hardym!

(Przebija go z tyłu).

Sługa. O, piekielnico! Już po mnie! Milordzie,

Jeszcze ci jedno oko pozostało,
Byś widział jego karę. Och! umieram. *(Umiera).*

Ks. Kornwalii. Aby podobnych nie widziało więcej,

Przeszkodzę. Wskocz, marna galareto!

(Wydziera Glosterowi drugie oko).

Gdzież twój blask teraz?

Gloster. Wszędzie ciemno, smutno!

Gdzie mój syn Edmund? Edmundzie, Edmundzie,
Rozżarz w twem łonie wszelkie iskry uczuć
I pomścij ten czyn srogi.

Ks. Kornwalii. Podły zdrajco!

Przyzywasz tego, co cię nienawidzi;
On to nam odkrył twoje przeniewierstwo.
Nigdy cię pewnie taki prawy człowiek
Nie pożałuje.

Gloster. O, moja głupoto!

Więc Edgar został skrzywdzony. Bogowie,
Pobłogosławcież mu i mnie wybaczcie!

Regana. Wyrzucie go za bramę, niechaj wietrzy
Drogę do Dowru. Jakże ci, milordzie?

Ks. Kornwalii. Zadał mi hultaj ranę. Pójdź, miledy!

Wynieście tego ślepeca. Tego łotra
Rzućcie w gnojowy dół. Krew mię uchodzi;
Podaj mi ramię. Nie w porę to przyszło.

*(Ks. Kornwalii, wsparty na Reganie, wychodzi. Słudzy roz-
wiązują i wyprowadzają Glostera).*

Pierwszy sługa. Sam nie wiem, na co bym się gotów ważyć,
Byleby ulżyć temu biedakowi.

Drugi sługa. Jeżeli ona długi czas pożyje
I umrze zwykłym trybem, niezawodnie
Ze wszystkich kobiet staną się potwory.

Pierwszy sługa. Pójdźmy w czem pomódz staremu hra-
[biemu;

Sprowadźmy tego waryata, co krąży
W pobliżu zamku; on go zaprowadzi,
Gdzie zechce; jego prostackie szaleństwo
Da się tu w porę użyć.

Drugi sługa. Idź i zrób tak.
Ja pójdę przynieść trochę lnu i białka,
By go opatrzyć w tym żalonym stanie.
Bogowie, miejcie nad nim zmiłowanie!
(Rozchodzą się w przeciwne strony).

AKT CZWARTY.

SCENA I.

Dzika okolica.

(Wchodzi Edgar).

Edgar. Przecież tak lepiej: lepsza jawna wzgarda,
Niż ubarwiona pochlebstwem. Najlichsza,
Najniżej pchnięta od losu istota
Żyje w nadziei ciągłej, nie w obawie.
Żalosa zmiana dotyka jedynie
Wyższych, maluczkiem śmiech wraca na usta.
Święć się więc wolne, otwarte powietrze,
Co mnie otaczasz! wicherzeń twych i wstrząśnień
Nie mam ci za złe. — Lecz któż to się zbliża? —
(Wchodzi Gloster, wsparty na ramieniu starca).

Mój ojciec w takim oplakany stanie?
O, świecie, świecie, świecie! Gdyby twoje
Dziwne koleje i kapryśne przejścia
Nie kazały nam nienawidzić ciebie,
Któżby cierpliwie znosił brzemię wieku?
Starzec. O, drogi panie, byłem twym dzierzawcą
I twego ojca przez lat osiemdziesiąt.

Gloster. Idź sobie, idź, mój dobry przyjacielu:
Pomoc twa nic mi poradzić nie może,
A tobie może szkodzić.

Starzec. O, milordzie,
Nie widzisz drogi.

Gloster. Dla mnie jej już niema,
Więc mi do tego oczy nie potrzebne:
Zdarzało mi się potknąć, kiedym widział.
Często brak bywa zbawiennym i strata
Jedna nam korzyść. — O, drogi Edgarze,
Ofiaro gniewu zwiedzonego ojca!
Gdybym cię widzieć mógł przez namacanie,
Rzekłbym, że oczy odzyskałem.

Starzec. Kto tu?
Edgar (na stronie). O, bogi! komuż wolno jest powiedzieć,
Że już być gorzej nie może? mnie teraz
Gorzej niż kiedybądź.

Starzec. To biedny Tomek.
Edgar (na stronie). I jeszcze może być gorzej. Zaprawdę,
Najgorzej jeszcze nie jest, póki człowiek
Może powiedzieć: teraz mi najgorzej.

Starzec. Gdzie, przyjacielu, idziesz?

Gloster. Czy to żebrak?

Starzec. Waryat i żebrak.

Gloster. Ma on jeszcze rozum;
Bo gdyby nie miał go, nie mógłby żebrać.
Widziałem właśnie jednego takiego
Ostatniej nocy w czasie burzy; istny
Obraz robaka stawił mi ów człowiek.
Wtedy mi biedny mój syn na myśl przyszedł,
A przecież wtedy myśl moja nie była
Usposobioną dla niego przyjaźnie.
Zmieniło się to później. Czem są muchy
Dla psotnych chłopców, tem ludzie dla bogów;
Gnębią nas dla zabawki.

Edgar (na stronie). Cóż mam czynić? —
Smutna to sprawa błaznować w cierpieniu
I drażnić przez to i siebie i drugich. —
Bogowie z wami, mój paneczku!

Gloster (do starca). Powiedz,
Czy to ów nagi Bedlamczyk?

Starzec. Tak, panie.

Gloster. To idź do domu, bracie. Gdybyś dla mnie

Chciał jeszcze wrócić i złączyć się z nami
O jaką milę albo i dwie dalej,
W kierunku Dowru, to cię proszę, w imię
Twej przychylności dawnej, przynieś z sobą
Jakie okrycie dla tego biedaka,
Co mię prowadzić będzie.

Starzec. Ależ, panie,
On waryat.

Gloster. Taki dziś porządek świata,
Że ślepych wodzą waryaci. Idź, uczyni,
O co proszę, lub zresztą co zechcesz,
Tylko idź sobie.

Starzec. Przyniosę mu odzież,
Jaką mam; niechaj co chce stąd wyniknie.
(*Wychodzi*).

Gloster. Słuchajno nagi, biedny mój człowieku.

Edgar. Tomkowi zimno. (*Na stronie*). Nie wytrzymam dłużej.

Gloster. Chodźno tu; zbliż się.

Edgar (*na stronie*). A jednakże muszę. —
(*Głośno*).

Niechaj bogowie uzdrowią, paneczku,
Niebogię oczy twoje: krew z nich ciecze.

Gloster. Czy znasz ty drogę do Dowru?

Edgar. Drogi i drożyny, ścieżki i manowce. Biedny Tomek stracił, niestety, jedną z pięciu klepek. Pocziwa duszo, niech cię bogowie chronią od złego wroga! Pięciu ich naraz siedziało w biednym Tomku: Obidykut, duch pożądliwości; Hoberdydas, książę niemoty; Mahu, kradzieży; Modo, morderstwa, i Flibbertygibbet, duch fochów i fomfrów, który potem przeszedł w starą pannę. Bogowie z tobą, paneczku.

Gloster. Masz tu trzos; weź go ty, którego nieba
Zgięły pod brzemień wszelkich upokorzeń;
Bądź ty szczęśliwszym przeto, żem ja biedny. —
Czyńcie tak zawsze, bogowie; niech człowiek
Opływający w dostatki, syt uciech,
Co szydzi z waszych praw, co nie chce widzieć,
Nie czując, nagle moc poczuje waszą;
Takim sposobem podział niesie zbytek
I każdy będzie miał dosyć. — Czy dobrze
Znasz okolice Dowru?

Edgar. Znam, paneczku.

Gloster. Jest tam gdzieś skała, której grzbiet spadziasty

Strasznie pogląda w przepaścistą głębię;
Do jej krawędzi tylko mnie doprowadź,
A zmniejszą ciężar twej nędzy czemś drogiem,
Co mam przy sobie. Tam się już obejdę
Bez przewodnika.

Edgar. Oprzyj się o ramię
Biednego Tomka; on cię poprowadzi.
(*Wychodzą*).

SCENA II.

Przed zamkiem księcia Albanii.

(*Wchodzą: Goneryla i Edmund; Oswald wychodzi na ich spotkanie*).

Goneryla (*do Edmunda*). Witaj, milordzie. — Dziwi mię to
[bardzo,

Że mój łagodny małżonek nie raczył
Wyjść na spotkanie nasze. —

(*Do Oswalda*).

Gdzie pan?

Oswald. W domu,

Łaskawa Pani, ale odmieniony
Nie do poznania. Gdym go uwiadomił
O owych wojskach, co wylądowały,
To się uśmiechnął; gdy mu oznajmiłem
Twój powrót, Pani, rzekł na to: »tem gorzej«;
A gdym mu wspomniał o Glosterze zdradzie
I o niezłomnej wierze jego syna,
Nazwał mnie głupcem, powiedział, że biore
Rzeczy na opak. Coby mu powinno
Nie być po myśli, zda mu się przyjemnem,
A co po myśli — przykrem.

Goneryla. W takim razie
Nie potrzebujesz, Edmundzie, iść dalej.
Jest to właściwa mu tchórzliwość ducha,
Odbierająca wszelką przedsiębiorczość.
Krzywd on nie czuje, gdy się za nie śmiało
Ująć potrzeba. Wynurzone w drodze
Życzenia nasze mogą być ziszczone.
Wróć się, Edmundzie, do mojego szwagra.
Przyśpiesz czynione przezeń uzbrojenia

I przywiedź jego wojsko. Muszę w domu
Zamienić rolę i mężowi memu
Dać w rękę kądziel. Ten mój wierny sługa
Będzie pomiędzy nami pośrednikiem.
Jeżeli, dbały o swe własne dobro,
Zechcesz na wszystko się ważyć, niebawem
Usłyszysz słodszy rozkaz twojej Pani.
Noś to...

(Daje mu upominek).

Bądź skąpy w mówieniu — schyl głowę:
Ten pocałunek gdyby mówić umiał,
Wzniósłby pod niebo władze twego ducha. —
Zrozum mię dobrze; bądź zdrów.

Edmund. Twój niewolnik,
Aż do bram śmierci.

Goneryla. Drogi mój Glosterze!
(Wychodzi Edmund).

Co za różnica między tymi ludźmi!
Tamtemu winnam uległość: cap taki
Ma do mnie prawa.

Oswald. Pani, milord idzie.
(Wychodzi).
(Wchodzi księżę Albanii).

Goneryla. Sądzę, że warta choć kiwnięcia głową.

Ks. Albanii. O, Gonerylo! ty nie jesteś warta
I tego pyłu, co nim wiatr w twarz wieje.
Twoja natura trwoży mię: kto gardzi
Szczepem, z którego powstał, ten nie może
Żądz swych w granicach utrzymać. Gałązka,
Odczepiająca się od pnia swojego,
Musi koniecznie schnąć i stać się zgubną.

Goneryla. Dostyc już tego; ten tekst nie ma sensu.

Ks. Albanii. Mądrość i cnota złym zdaje się zdrożną,
Gnój pachnie gnojkom. Cóżżeś uczyniła?
Hieny, nie córki, coście wy zrobiły?
Ojciec wasz, starzec dostojny, którego
Niedźwiedźby ze czcią lizał — o, sromoto!
O, nieprawości! — wpadł przez was w szaleństwo.
Mógłże mój szwagier coś takiego ścierpieć?
Mąż, księżę, który mu tyle był winien?
Jeżeli nieba niebawem widzialnie
Nie ześlą duchów swoich dla skarcenia
Takich bezprawii, przyjdzie czas, że ludzie

Żreć się nawzajem będą, jak potwory
Piekielnych głębi.

Goneryla. O, miękki człowieku!
Co masz policzki do policzkowania,
A głowę, żeby kołki na niej strugać;
Co nie masz zmysłu zdolnego rozpoznać,
Gdzie honor a gdzie obelga; co nie wiesz,
Że tylko głupcy zwykli się litować
Nad niecotami, których ukarano,
Nim złe spełnili. Gdzie twój róg wojenny?
Francya rozwija sztandar w naszych krajach;
Pióropuszystym hełmem wróg twój grozi;
A ty, cnotliwy głab, siedzisz i stękasz:
»Przecz on to czyni? ach!«

Ks. Albanii. Spójrz na się, dyable!
Wewnętrzna szpetność mniej razi w szatanie,
Niż w białogłowie.

Goneryla. Nikczemny półgłówku!

Ks. Albanii. Z gruntu zepsuta, zbestwiona istoto,
Nie czyń potwornym swojego widoku.
Gdyby mi na to przystało pozwolić,
Żeby ta ręka słuchała krwi mojej,
Łatwoby ona mogła ciało twoje
Odprządz od kości. Choć jesteś szatanem,
Niewieścia twoja postać chroni ciebie.

Goneryla. Ha! co za męska dzielność teraz przyszła!
(Wchodzi Goniec).

Ks. Albanii. Co mi przynosisz?

Goniec. O, Łaskawy Panie,
Księżę Kornwalii zmarł, zamordowany
Przez swego sługę, gdy miał Glosterowi
Wyłupić drugie oko.

Ks. Albanii. Glosterowi
Oko wyłupić?

Goniec. Sługa ten, którego
On sam wychował, przejęty litością,
I chcąc go w jego zamiarze powstrzymać,
Wydobył miecza przeciw dostojnemu
Swojemu panu, który do wściekłości
Tem przywiedziony, rzucił się na niego
I przy pomocy drugich go powalił,
Zostawszy jednak wprzód sam ugodzony
Tym ciosem, który później śmierć sprowadził.

Ks. Albanii. Widoczna, że wy tam jesteście w górze,
Sędziowie, którzy ziemskie nasze zbrodnie
Szybko umiecie karać. — Biedny Gloster!
Obojętne oczu stracił?

Goniec. Tak, milordzie.
List ten wymaga śpiesznej odpowiedzi;
Jest on od siostry miledy.

Goneryla (do siebie). Po części
Kontentam z tego; skoro ona jednak
Jest teraz wdową, a przy niej mój Gloster,
Cała budowa mojej wyobraźni
Mogłaby łatwo runąć i przywalić
Me nienawistne życie. Z drugiej strony
Nie tak trapiącą jest ta wieść. — Przeczytam
I dam odpowiedź.

(*Wychodzi.*)

Ks. Albanii. Gdzież był syn jego, gdy go oślepiali?

Goniec. Pojechał z twoją małżonką, milordzie.

Ks. Albanii. Niema go tutaj.

Goniec. Tak, Łaskawy Panie;
Wracającego stąd spotkałem właśnie.

Ks. Albanii. Czy wie on o tym barbarzyńskim czynie?

Goniec. Wie, Miłościwy Panie. — On to świadczył
Przeciwno ojcu i unikał zamku
Umyślnie, aby ukaraniu jego
Dać bieg swobodny.

Ks. Albanii. Ja żyję, Glosterze,
Bym ci zawdzięczył twą wierność królowi
I wzrok twój pomścił. — Pójdź, mój przyjacielu,
Powiedz mi, jeśli jeszcze wiesz co więcej.

(*Wychodzą.*)

SCENA III.

Obóz francuski w pobliżu Dowru.

(*Wchodzi Kent i jeden z rycerzy.*)

Kent. Nie wiesz, rycerzu, co było powodem,
Że król francuski tak nagle odjechał?

Rycerz. Jakiś interes, państwa dotyczący,
Nie załatwiony a który dopiero
Przyszedł mu na myśl po wylądowaniu.

Królestwu jego grozić ma podobno
Niebezpieczeństwo tak wielkie, że powrót
Jego osoby był wielce potrzebnym,
Niezbędnym nawet.

Kent. Kogoż on w swe miejsce
Wodzem zostawił?

Rycerz. Marszałka Le Fer'a.

Kent. Czy ten list, któryś pan oddał królowej,
Wywołał jakiś objaw jej boleści?

Rycerz. Tak, panie; wzięła go i odczytała
W mej obecności, a gdy go czytała,
Duże łez krople od czasu do czasu
Spadały po jej delikatnych licach.
Widząc ją, byłbyś rzekł, że jest królową
Swojego żalu, który buntowniczo
Chciał jej królować.

Kent. Była więc wzruszoną!

Rycerz. Ale nie gniewną. Żałość i moc duszy
Walczyły w niej o lepszą; widać było
Deszcz i pogodę razem; jej uśmiechy
I jej łzy były jako dzień majowy,
Pełen uroku. Błogie te promyki,
Które igrały na jej świeżych ustach,
Zdawały się nie wiedzieć, jacy goście
Byli w jej oczach i z nich wychodzili,
Jakoby perły kapiące z brylantów.
Słowem, żal byłby pożądanym skarbem,
Gdyby każdego tak upiękniał.

Kent. Nic-że
Nie powiedziała?

Rycerz. Owszem, parę razy
Z głębi jej piersi wyszło imię ojca,
Jakby się serce jej oswobadzało
Z ciężaru. — Siostry! — zawołała, — siostry!
Hańba kobietom! siostry! Kencie! ojczu!
Jakto? w noc? w czasie burzy? Więc litości
Niema na świecie! — Wtedy się puściły
Święte strumienie z jej niebiańskich oczu
I rzewny głos jej stłumiły; wybiegła,
By zostać sama z swem cierpieniem.

Kent. Gwiazdy,
Gwiazdy to rządzą treścią naszych jestestw,
Inaczej, jedno i to samo stadło

Nie wydałoby dzieci tak odmiennych. —
Czy się z nią potem widziałeś, rycerzu?

Rycerz. Nie.

Kent. Czy to było przed odjazdem króla?

Rycerz. Później.

Kent. To dobrze. Biedny Lir jest w mieście.

Chwilami sobie przypomina kolej
Zasłych wypadków i na żaden sposób
Nie chce się widzieć z córką.

Rycerz. Czemu, panie?

Kent. Tak mu wstyd. Twardość, z jaką jej odmówił
Błogosławieństwa, puścił ją na hazard
W obczyzną, wyuł ją z praw przynależnych,
Na korzyść tamtych dwóch pogańskich córek;
Wszystko to gryzie mu serce tak srodze,
Tak go zawstydzają, że nie śmie nieborak
Spójrzeć Kordelii w oczy.

Rycerz. Biedny człowiek!

Kent. Wiesz co, rycerzu, o obrotach książąt?

Rycerz. Wieść się potwierdza, że są w marszu.

Kent. Dobrze.

Powiodę teraz, rycerzu, do króla
I pozostawię, abyś nad nim czuwał.
Ważne powody każą mi się jeszcze
W skrytość obwijać; gdy mię Waćpan poznasz
W właściwym świetle, nie będziesz żałował
Dotychczasowej naszej znajomości,
Chciej mi tymczasem towarzyszyć.

(Wychodzą).

SCENA IV.

Tamże. Pole.

(Wchodzi Kordelia, Lekarz. Orszak, rotmistrze i żołnierze).

Kordelia. To on, niestety! spotkano go właśnie
Szalejącego jak wzburzone morze,
Śpiewającego i uwieńczonego
Chabrem, kaskiem, łopianem i innem
Bezużytecznym zielskiem, które rośnie
W żywiących zbożach. — Weźcie ze stu ludzi,
Przepatrzcie pilnie każdy mórg tych łąnów

Bujnie porośłych, i przywieźcie do nas
Nieszczęśliwego.

(Wychodzi rotmistrz z częścią żołnierzy).

Czyliż mądrość ludzka

Zdoła mu wrócić utracone zmysły?

Wszystkie me skarby chętnie oddam temu,
Kto go uleczy.

Lekarz. Są sposoby, Pani.

Odżywcielem natury najlepszym
Jest wypoczynek, którego mu braknie;
Do zapewnienia mu tego posłużą
Pewne skuteczne, specyficzne leki,
Których moc uspi jego udręczenia.

Kordelia. O, wy, zaradcze, zbawcze tajemnice,

Wy niezbadane potęgi natury,
Spłyńcie wraz z memi łzami! przyjdźcie w pomoc,
Uzdrowcie tego drogiego mi mi starca! —

A wy szukajcie go, szukajcie wszędzie,

Zanim samemu sobie zostawione

Szaleństwo jego rozstroi to życie,

Niezdolne sobie radzić. (Wchodzi goniec).

Goniec. Wieści, Pani!

Wojska brytańskie zbliżają się.

Kordelia. O tem

Już wiedzieliśmy i jesteśmy na to
Przygotowani. — O! drogi mój ojciec,
W twojej to sprawie uchwyciłam oręż,
W twojej to sprawie wspaniała pan Francyi
Cierpienia mego i łez się uzalił.

Nie próżna pycha wkłada na nas zbroję,

Lecz miłość, a z nią święte prawa twoje.

Obym cię mogła ujrzeć jak najprędzej,

Słyszeć i koniec twej położyć nędzy!

(Wychodzi ze swoimi).

SCENA V.

Pokój w zamku Glostera.

(Regana i Oswald).

Regana. Więc wojska mego szwagra są w pochodzie?

Oswald. Tak, Pani.

Regana. I on sam dowodzi niemi?

Oswald. Tak jest, po wielu korowodach. Siostra
Waszej Miłości lepszym jest żołnierzem.
Regana. Czy się lord Edmund widział z waszym księciem?
Oswald. Nie, Pani.
Regana. Cóżby w sobie mógł zawierać
List mojej siostry do niego?
Oswald. Nic nie wiem.
Regana. Wyjechał wprawdzie stąd w nielada celu.
Było to wielkiem głupstwem Glosterowi,
Po ócz wyjęciu, pozostawiać życie:
Gdzie się pokaże, wszędzie wszystkich serca
Od nas odwraca. Edmund, jak rozumiem,
Z politowania nad jego niedolą,
Udał się mroczny jego byt zakończyć;
A przytem zbadać siły nieprzyjaciół.
Oswald. Muszę go szukać z tym listem, miledy.
Regana. Jutro ruszają nasze wojska; czekaj:
Drogi nie pewne.
Oswald. Nie mogę, miledy:
Mam przez mą Panią zalecony pośpiech.
Regana. Po co jej było pisać? Czyliż waćpan
Nie mogłeś ustnie powiedzieć, co chciała?
Coś się w tem święci — czyby czasem?... słuchaj:
Będę ci za to nieskończenie wdzięczną,
Pozwól mi pismo to rozpieczętować.
Oswald. Wolałbym raczej...
Regana. Wiem, że twoja pani
Nie cierpi męża, jestem tego pewna,
A za ostatnim swoim tu pobytem,
Rzuciła dziwnie znaczące spojrzenia
Na szlachetnego Edmunda. Wiem także,
Iż waćpan jesteś jej wiernikiem.
Oswald. Ja, Pani?
Regana. Mówię zasadnie, żeś nim jest, wiem otem;
Muszę dlatego uprzedzić waćpana
O rzeczy, którą trzeba żebyś wiedział.
Mój mąż nie żyje; jam się już z Edmundem
Porozumiała i moja dlań ręka
Jest stosowniejszą, niż ręka twej pani.
Resztę wywnioskuj sam. Jeśli go znajdziesz,
Oddaj mu, proszę, i to moje pismo;
A gdy twa pani dowie się od ciebie
O tych szczegółach, staraj się ją skłonić,

Ażeby poszła za radą rozumu.
Bywaj mi teraz zdrów. Gdybyś przypadkiem
Tego ślepego zdrajcę gdzie napotkał,
Pomnij, że tego, co go sprzątnie, hojna
Czeka nagroda.
Oswald. Radbym go napotkać.
Łaskawa Pani, byś się przekonała,
Czyjej się strony trzymam.
Regana. Idź szczęśliwie.
(*Wychodzą*).

SCENA VI.

Okolica w pobliżu Dowru.

(*Wchodzi Gloster i Edgar w ubraniu wieśniaczem*).

Gloster. Kiedyż dojdziemy na szczyt tego wzgórza?
Edgar. Drapiemy się nań, panie; nie czujecież,
Jak to iść ciężko?
Gloster. Grunt zdaje się równy.
Edgar. Okropnie stromy. Nie słyszycie morza?
Gloster. Nic wcale.
Edgar. Widać więc, że wasz brak wzroku
I innym zmysłom odejmuje władzę.
Gloster. W istocie, być to może. Mnie się zdaje,
Że twój głos inny teraz, że twa mowa
Jest rozsądniejszą i gładszą, niż pierwej.
Edgar. Mylisz się, panie; niema we mnie zmiany,
Chyba w ubraniu.
Gloster. Zdaje mi się jednak,
Że lepiej mówisz.
Edgar. Jesteśmy na miejscu:
Stójcie spokojnie. — O, jakże to strasznie,
Jak to odurza patrzeć w taką głębię!
Wrony i kawki, krążące w pośrodku,
Ledwie wydają się wielkości chrząszczów.
W połowie chyłu wisi jakiś człowiek,
Zbierając morski kopr: okropna czynność!
Zda mi się, że się wydaje nie większym,
Jak jego głowa. Rybacy, chodzący
Owdzie wzdłuż brzegów, rzekłbyś, że to myszy;
A ów ogromy statek na kotwicy

Wygląda jak czótenko. Głuchy odgłos
Wałów, bijących o nadbrzeżne żwiry,
Tu dojść nie może. Nie będę już patrzył,
Bo mi się w mózgu zawraca i mógłbym
Stoczyć się w przepaść.

Gloster. Postaw mię, gdzie stoisz.

Edgar. Dajcie mi rękę; jesteście już tylko
O stopę od krawędzi. Za nic w świecie
Nie podskoczyłbym tutaj.

Gloster. Puść mi rękę.
Masz tu trzos jeszcze jeden, przyjacielu,
A w nim zawarty klejnot, wielkiej ceny
Dla ubogiego: niech ci z nim bogowie
Szczęście przyniosą! Idź teraz, kochanku;
Bywaj zdrów! daj się słyszeć, że odchodzisz.

Edgar. Bądźże mi, panie, zdrów!

Gloster. Bogowie z tobą.

Edgar (do siebie). Pozwalam sobie tych żartów z rozpaczą
Dlatego tylko, abym ją uleczył.

Gloster. O! wy, potężni władcy na niebiosach!
W obliczu waszem wyrzekam się świata
I zrzucam z siebie wielką moją boleść.
Gdybym ją dłużej mógł znosić bez szemrafi
Na waszą świętą nieodmienną wolę,
Knot mego życia sam przez się by wytłął.
Jeżeli Edgar mój żyje, o, zlejcie,
Zlejcie na niego swe błogosławieństwa! —
No, przyjacielu, bądź zdrów — a gdzie jesteście?

Edgar. Jużem daleko, panie; bądźcie zdrowi.

(Gloster skacze i pada na ziemię).

A kto wie, czyli czasem wyobraźnia
Nie jest w możności wydrzeć skarbu życia,
Kiedy to życie samo chce swej zguby?
Myśl, że się zabił, nie mogłaż go zabić
Naprawdę? — Żywy, czy nie żywy? —
Hej, przyjacielu! — panie! czy nie słyszysz?
Przemów! — Czyliżby umrzeć miał w istocie!
Przecież! porusza się. — Kto wy jesteście?

Gloster. Precz, daj mi umrzeć!

Edgar. Gdybyś nie był piórkiem,
Nitką pajęczą, byłbyś się był rozbił,
Jak jajko, spadłszy tyle sążni na dół;
Ale oddychasz, masz wagę, nie rannyś,

Przemawiasz, jesteś cały. Dziesięć masztów,
Stawionych jeden na drugi, nie czynią
Tej wysokości, z jakiej prostopadle
Zleciałeś tu, gdzie stoję. Cud, że żyjesz.
Przemów raz jeszcze.

Gloster. Spadłem ja istotnie?

Edgar. Stamtąd, z owego straszliwego wirchu
Kredowej skały. Spójrz tylko do góry:
Donośnogłosy skowronek nie mógłby
Na taką metę ani być widzianym,
Ani słyszany. Spójrz tylko do góry.

Gloster. Niestety, nie mam oczu. Czyliż nędzy
Jest odmówione i to dobrodziejstwo,
By śmiercią sobie położyła koniec?
Było to pewnym rodzajem pociechy,
Gdy uciśniony mógł się tym sposobem
Od okrucieństwa ciemnicy uchronić
I podejść dumną jego samowolność.

Edgar. Daj rękę, panie; wstań — tak — no, i jakże?
Stoiszli mocno?

Gloster. Aż nadto, aż nadto.

Edgar. To nie do wiary. Co to było owdzie
Na skale, co się od was oddaliło,
Nimeście spadli?

Gloster. Był to biedny żebrak.

Edgar. Stąd mi się jego oczy wydawały
Jak dwa księżycy w pełni; miał sto nosów,
Rogi zagięte, nakształt wzdętej fali.
Był to niechybnie zły duch. Pomyśl przeto,
Szczęśliwy starcze, żeś winien swą całość
Opatrzny bogom, którzy zakładają
Swą chwałę na tem, żeby uskutecznić
To, co się ludziom zdaje niepodobnem.

Gloster. Tak jest, poznaje teraz. Będę odtąd
Dźwigał mą nędzę, aż zawoła sama:
»Dość już, umieraj!« Ten, o którym mówisz,
Mój bracie, mnie się wydawał człowiekiem;
Często on mówił: »Zły wróg! zły wróg!« On mię
Tam przyprowadził.

Edgar. Bądźcie dobrej myśli
I nie frasujcie się. — Któż to tu zmierza?

(Wchodzi król Lir fantastycznie przybrany w polne kwiaty).

Przytomny umysł nigdy swego pana
Tak nie wystroi.

Król Lir. Wolno mi przecie bić monetę; za to mi nic nie
zrobią; nie jestem królem?

Edgar. Rozdzierający widoku!

Król Lir. Natura w tym względzie przechodzi sztukę. —
Oto macie jurgielt. Ten drab trzyma łuk jak stracha
na ptaki! Naciągaj lepiej krawiecki łokieć, bałwanie. —
Patrzcie, patrzcie! — mysz. Cicho! cicho! — ten ka-
wałek sera to potrafi. — Oto moja rękawica; pójdź,
olbrzymie, zmierzmy się. — Przynieście berdysze! —
O, ptaku, jakżeś czmychnął! — W samo centrum, w samo
centrum! hiiu! Stój! jakie hasło?

Edgar. Pachnie majeranek.

Król Lir. Przejdźcie.

Gloster. Ten głos mi znany.

Król Lir. Ha! Goneryło! — z białą brodą! — Pochlebiali
mi, jak psy; mówili mi, że mam biały włos na brodzie,
nim mi jeszcze urósł czarny. »Tak« i »nie« na wszystko,
com powiedział! »Tak« i »nie« na jedno i toż samo!
to nie bogomyślnie. Kiedy mię raz jednego deszcz
prażył i wiatr na wskroś przejmował, kiedy grzmot nie
chciał się uciszyć, choć mu kazałem, wtędym je po-
znał, wtędym je przewąchał. Dajcie im pokój! nie mo-
żna liczyć na ich słowo. Powiedziały mi, że mogę
wszystko; to fałsz: nie mogę się nie trząść w febrze.

Gloster. Dźwięk tego głosu przypominam sobie.
Czy to król?

Król Lir. Tak jest, król, król w każdym calu.

Gdy groźnie spojrzę, patrz, jak drżą poddani.

Temum darował życie. Cóż on zgrzeszył?

Popęłił cudzołóstwo. —

Nie umrzesz: ponieść śmierć za cudzołóstwo?

Nie, nie! tak samo grzeszy pokrzywniczek,

Maleńka złota muszka w moich oczach

Grzeszy tak samo. Niech się ludek mnoży! —

Przecież nieprawo syn Glostera bardziej

Miłował ojca, niż Lira dwie córki,

Spłodzone w prawem łożu.

Święć się rozpusto, bo mi brak żołnierzy. —

Patrzcie na ową piękną damę: twarz jej

Zdaje się mówić, że lód jest w jej łonie;

Jawi wzór cnoty i odwraca głowę,

Słyszac ten wyraz: rozkosz.

A jednak żadna klacz, żadna łasica

Nie jest w swej żądzy tak nieposkromioną.

Boginie one na zewnątrz,

A wewnątrz — piekło w nich, mrok, siarka, smoła,
Żar i war, fetor, stęchlizna.

Tfy! tfy! tfy! Daj mi piżma, aptekarzu,

Na złagodzenie mojej wyobraźni...

Oto pieniądze.

Gloster. Niech ucałuję tę rękę!

Król Lir. Zaczekaj,
Wprzód ją obmyję: czuć ją cielesnością.

Gloster. O, ty, wielkości zrujnowany szczątku!

Tak samo kiedyś w niwecz się obróci

Ten ogrom świata. Poznajesz mię, Panie.

Król Lir. Poznają twoje oczy. Mrugasz na mnie?

Nie, darmo kusisz, ślepy Kupidynie:

Nie chcę już kochać. Czytaj to wyzwanie,

Tylko uważaj na charakter pisma.

Gloster. Choćby litera każda była słońcem,

Nie przeczytałbym i jednej.

Edgar (*do siebie*). Nie chciałem wierzyć, gdy mi to mówiono;

Sam widzę teraz i serca mi pęka.

Król Lir. Czytaj.

Gloster. Czem? Temi dziurami bez oczu?

Król Lir. Oho, tak ze mną poczynasz? Do licha!

Głowa bez oczu, worek bez pieniędzy?

Brak oczu gorzej ciąży twojej głowie,

Niż brak pieniędzy twojemu workowi.

Taki to, widzisz, świat.

Gloster. Widzę, niestety!

Król Lir. Co? czyś oszalał? Żeby ślepy człowiek

Mógł widzieć, jaki jest świat! Patrz uszyna.

Patrzno, czy widzisz, jak ten sędzia jeździ

Po tym złodzieju dobrodusznym? Słuchaj —

Ale to zostaw przy sobie: zmień miejsce

I zgadnij, w której ręce złota kula?

Kto jest złodziejem, kto sędzią? Czyś widział,

Żeby wieśniaczy pies czekał na dziada?

Gloster. Widziałem, Panie.

Król Lir. I nieboraczysko

Umknął przed kurta? —

Widzisz w tem wielki obraz wpływu władzy:

Słucha się nawet kundlów na urzędzie.
Podły pachołku, odejm krwawą rękę!
Za co ty chłoszczesz tę niewiastę? Bij się
Po własnym grzbiecie. Pożądasz jej, chamie,
A karzesz ją za pożądliwość? lichwiarz
Wiesz Cygana. Przez wytarte suknie
Widać najmniejsze niedoskonałości.
Togi i szuby pokrywają wszystko.
Powlecz grzech złotem, a hartowna dzida
Sprawiedliwości pryśnie, nie zraniwszy;
Uzbrój go w łachman, karzeł zdźbłem go zmoże.
Nikt nie jest winnym, nikt, nikt, ręczę za to,
Jeżeli — zapisz to, mój przyjacielu —
Jeżeli zdoła oskarżycielowi
Zapieczętować usta. —
Wpraw sobie szklane oczy i tak uczyni,
Jak czynią zręczni politycy: udaj,
Że widzisz rzeczy, których nic nie widzisz.
Cóż teraz będzie? teraz, teraz, teraz
Zdejmcie mi buty — mocniej, mocniej, tak, tak.

Edgar. O, ileż sensu wśród niedorzeczności!

Wśród obłąkania, jaki rozum!

Król Lir. Chceszli

Płakać nade mną, to weź moje oczy.
Znam ja cię dobrze, nazywasz się Gloster.
Cierp, myśmy wszyscy płacząc na świat przysli.
Wiesz, że wciągając pierwszy raz powietrze,
Kwilim i krzyczym. Powiem ci kazanie,
Tylko uważaj.

Gloster. Niestety! Niestety!

Król Lir. Krzyczymy, rodząc się, dlatego, bracie,
Że wchodzimy na tę wielką scenę błazeństw. —

Niezła myśl! Byłby to subtelny fortel,
Część naszych koni kazać podkuć pilśnią.
Muszę spróbować; gdy zaś tym sposobem
Cichaczem zejdem moich panów zięciów,
Wtedy rznij, morduj, morduj, morduj, morduj!

(Wchodzi jeden z rotmistrzów, za nim żołnierze).

Rotmistrz. Jest tu, jest; miejcie go na oku. — Panie,
Dostojna Wasza córka...

Król Lir. Bez odsieczy.

Jakto? w niewoli? Istnym błazen losu.
Nie obchodźcie się ze mną barbarzyńsko,

Dam wykup. Każcie przywołać chirurga!

Ciętym tu. *(Wskazuje na głowę).*

Rotmistrz. Wszystko mieć będziecie, Panie.

Król Lir. Znikąd pomocy? Zewsząd opuszczony?

Toby człowieka w zdrój łez mogło zmienić,

A oczy jego w ogrodowe konwie

Do zalewania kurzu.

Rotmistrz. Drogi Panie!

Król Lir. Umrę walecznie, strojnie, jak pan młody.

Będę jowialnym, cha! cha! jestem królem;

Czy wiecie o tem państwo?

Rotmistrz. Wielkim królem;

Wiemy to, Panie, i słuchać cię będziem.

Król Lir. Jest więc nadzieja życia; gońcie za mną,

Jeśli mię chcecie schwytać. Hussa! hussa!

(Wybiega; żołnierze za nim).

Rotmistrz. Ostatni nędzarz w tak żalonym stanie

Litośćby wzbudził, a cóż król dopiero! —

Jedna ci jeszcze córka pozostała,

A ta wybawi świat z pod ciężkiej klątwy,

Którą go tamte dwie przygniotły.

Edgar. Cześć Wam,

Szlachetny panie.

Rotmistrz. Mówcie węzłowato;

Czegoż to chcecie?

Edgar. Nie słyszałeś, panie,

Czy się zanosi na bitwę?

Rotmistrz. Z pewnością;

To rzecz wiadoma: każdy o tem słyszy,

Kto może dźwięki rozeznąć.

Edgar. Wybaczcie;

A czy daleko nieprzyjaciel?

Rotmistrz. Blizko:

Szybkim pochodem posuwa się ku nam,

I główne jego siły za godzinę

Pewnie nadejdą.

Edgar. Dziękuję Wam, panie:

To wszystko, czego chciałem się dowiedzieć.

Rotmistrz. Lubo królowa z szczególnych powodów

Tu się znajduje, wojska jej już dawno

Ruszyły naprzód.

Edgar. Dziękuję Wam, panie.

(Wychodzi rotmistrz).

Gloster. O, bogi, których dobroć nieprzebrana,
Weźcie mi życie, ażeby mię znowu
Zły duch nie skusił do szukania śmierci,
Nim ona będzie zgodna z wolą waszą.

Edgar. Dobrze się modlisz, ojczy.

Gloster. Któż ty jesteś,
Mój przyjacielu?

Edgar. Nader biedny człowiek,
Co się otrząsał już z ciosami losu
I w szkole własnych cierpień stał się czułym
Na nędzę drugich. Daj mi rękę, starczy,
Zapewnięć jaki przytułek.

Gloster. Przyjm dzięki,
Błogosławieństwo niebios niech ci zsyła
Pomyślność jedną po drugiej.
(*Wchodzi Oswald*).

Oswald. Ha! tuś mi!
Nagroda sama wchodzi mi pod rękę.
Ta twoja ślepa głowa po to siadła
Na twoim karku, by szczęście me poprzeć.
Policz się z sobą, stary, nędzny zdrajco;
Już wydobyty miecz, co cię ma zgładzić.

Gloster. Kiedy tak, niechże twa przyjazna ręka
Silnie uderzy. (*Edgar zasłania go sobą*).

Oswald. Co się to ma znaczyć,
Zuchwały chłopie, śmiesz stawać w obronie
Oślawionego zdrajcy? Precz! inaczej
Zaraza jego doli będzie mogła
Udzielić się i tobie. Odstąp, mówię.

Edgar. Jo nie kę, otby wej się pon odcepił.

Oswald. Odstąp, szubrawcze, albo zginiesz.

Edgar. Ejze,
Idźta jegomość lepiej w swoją drogę
I pozostawta biedny lud w pokoju.
Kiejby jo jeno kciał się dać zjeść w kasy,
To bych był od dwóch tydni to potrafił.
Nie następujta, warujta się, radzę,
Bo wej spróbuję co mocniejsze, łeb was
Cy moja pałka. Mata wóz i przewóz.

Oswald. Precz, ryfo!

Edgar. Ejze, wylecą wam zęby.
Co mi tam trząsać będzieta śpikulcem.
(*Walczą. Edgar powala pałką Oswalda*).

Oswald. Nędzny, zabiłeś mię. — Weź mój trzos, łotrze,
Chcesz li, ażeby ci się dobrze działo,
To ciało moje pochowaj i oddaj
Te listy, które niosłem, Edmundowi,
Hrabiemu Gloster: pytaj się o niego
W angielskiem wojsku. — O, niewczesna śmierci!
(*Umiera*).

Edgar. Znam ja cię dobrze, usłużny niecnoto;
Z tobą twa pani straciła narzędzie
Wszelkich występków, do jakich jest zdolną.

Gloster. Czy on nie żyje?

Edgar. Siądź tu, panie; spocznij. —
(*Do siebie*).

W kieszenie jego zajrzyjmy; te listy,
O których mówił, mogą mi wyświadczyć
Ważną przysługę. — (*Głośno*).

Nie żyje on, panie;
Tylko mi przykro, że jego oprawcą
Nie był kto inny.

(*Znalazłszy list, do siebie*).

Otóż i są: wybacz,
Szanowny wosku; nie wiń mię, dyskrecyo.
Ażeby odkryć myśl nieprzyjaciela,
Rozdarlibyśmy mu serce; rozedrzyć
Kopertę jego listu, prędzej ujdzie.

(*Rozpieczętowanywa list i czyta*).

»Nie zapominaj, milordzie, o zobowiązaniach naszych przyrzeczeniach. Nie brak ci sposobności do usunięcia go z drogi; jeżeli ci woli nie zabraknie, czas i miejsce nieraz ci się przyjaźnie nastęczą. Wszystko za nic, jeżeli on wróci zwycięzcą; ja, w takim razie, zostałabym niewolnicą, a jego łożę stałoby się mojem więzieniem. Uwolnij mię od tej ostateczności i zajmij, w nagrodę trudów, opróżnione miejsce przy mym boku.

Twoja (żona chciałabym powiedzieć)
powolna sługa

Goneryla«.

O, nieprzejrzana głębio żądz niewieścich!
Spisek na życie jej zacnego męża;
A substytutem mój brat. — Tu, w tych piaskach,
Pogrzebię ciebie, niefortunny pośle
Krwawych sprośników, a gdy przyjdzie pora,
Stawię ten słodki bilecik przed oczy

Zagrozonemu sięciu. Szczęście jego,
Że mu o śmierci twojej donieść mogę
I dać zbawienną na przyszłość przestrożę.

(Wywleka ciało Oswalda za scenę).

Gloster. Król zmysły stracił. Jak silne są moje,
Że się kołaczę jeszcze, czując ogrom
Mojej niedoli! Bogdajbym oszalał!
Wtedyby moja myśl się oddzieliła
Od moich cierpień i boleść uśpiona
Urojeniami chorej wyobraźni
Świadomość siebieby straciła.

(Odgłos trąb w oddali. — Edgar wraca).

Edgar. Idźmy.
Dajcie mi rękę, ojcze. Zdaje mi się,
Że słyszę w dali odgłos trąb wojennych.
Pójdźcie, umieszczę was u przyjaciela.

(Wychodzą).

SCENA VII.

Obóz francuski. Namiot Kordelii na stronie.

(Melodyjna muzyka za sceną. Kordelia, Kent, Doktor i jeden z dworzan).

Kordelia. O, najpocziwszy Kencie! jakże zdołam
Zawdzięczyć twoją dobroć? Życie moje
Za krótkie na to i możność za szczupłą.

Kent. Takie uznanie, Miłościwa Pani,
Jest już zapłatą nad zasługę. Wszystko,
Co powiedziałem, jest rzetelną prawdą;
Nie przesadziłem nic, ani ująłem.

Kordelia. Ubierz się przecie inaczej: te szaty
Budzą wspomnienie owych chwil żalosnych.
Proszę cię, zdejm je.

Kent. Wybacz mi, królowo;
Plan mój chce, abym jeszcze nie był znanym.
Proszę cię o to, Pani, jak o łaskę,
Byś mię nie znała póty, póki pora
Nie przyjdzie i ja nie uznam, że przyszła.

Kordelia. Niechże tak będzie. — *(Do doktora).*
Co się dzieje z królem?

Doktor. Śpi ciągle, Pani.

Kordelia. O, bogi, uleczcie,
Tę wielką szczyrbę w tej zranionej duszy!
Wróćcie harmonię rozstrojonym zmysłom
Ojca, co się stał dzieckiem.

Doktor. Czy nie każe
Wasza Królewska Mość obudzić króla?
Dość już spał.

Kordelia. Rządź się, panie, własnem zdaniem
I uczyń, co tylko uznasz za stosowne. —
Czy on ubrany?

Dworzanin. Tak, Łaskawa Pani.
Pogrozonemu w śnie głębokim świeżą
Daliśmy odzież.

Kent. Bądź Pani obecna,
Gdy go przebudzim; jestem prawie pewny,
Że teraz będzie spokojniejszy.

Kordelia. Dobrze.
(Król Lir w krześle śpiący wniesiony zostaje na scenę).

Doktor. Bliżej. — Powiedzcie, żeby głośniej grano.

Kordelia. Drogi mój ojcze, oby moje usta
Były lekarstwem i ten pocałunek
Ukoił boleść, którą moje siostry
Czcigodny wiek twój zatrąły!

Kent. Kochana,
Zacna istoto!

Kordelia. A! chociażbyś nawet
Nie był ich ojcem, te białe kędziory
Powinny były litość w nich obudzić.
Czyliż to była twarz do wystawienia
Na pastwę wichrów, deszczu i piorunów,
Jak owa biedna, stracona placówka
W wiotkim szyszaku? Pies mojego wroga
Choćby mię ugryzł, byłby był przytułek
W taką noc znalazł przy mojem ognisku.
A tyś poprzestać musiał, biedny ojcze,
Na chlewnej strzesze, na skąpej i zgniłej
Garści barłogu, wśród świń i włóczęgów.
O, bogi, bogi! to cud, że cię życie
Nie opuściło z przytomnością razem.

Budzi się; przemów do niego, doktorze.

Doktor. Uczyń to Pani, to będzie właściwiej.

Kordelia. Jakże się miewa nasz dostojny chory?
Jakże się Wasza Królewska Mość czuje?

Król Lir. Niepotrzebnieście mię dobyli z grobu. —

Tyś dobra dusza, alem ja przykuty
Do ognistego koła, które łzami,
Jak roztopionym ołowiem polewam.

Kordelia. Czy mię poznajesz, Panie?

Król Lir. Jesteś duchem,

Wiem, wiem. Dawnożes opuściła ciało?

Kordelia. Wciąż nieprzytomny.

Doktor. Tylko co się ocknął;

Zostaw go, Pani, chwilkę w spokojności.

Król Lir. Gdzież to ja byłem? Gdzie jestem? — Dzień jasny. —

Zwodzą mię srodze. — Umarłbym z litości,
Gdybym w tym stanie widział drugich. — Nie wiem,
Co mam powiedzieć. — Nie przysiągłbym na to,
Że to są moje ręce, a nie cudze; —
Zobaczymy: — czuję to zakłucie szpilką.

Gdybym mógł pewność mieć mojego stanu!

Kordelia. O, spojrzij na mnie, Panie, i wznies ręce

Nad moją głową w znak błogosławieństwa, —

Nie, Panie, tobie klękać nie przystoi.

Król Lir. Nie szydźcie ze mnie! Jestem dziecinniały,

Bezsilny starzec; mam lat osiemdziesiąt

Z górą, o jeden dzień ni mniej, ni więcej.

Boję się, mówiąc otwarcie, czy jestem

Przy całkiem zdrowych zmysłach. Zdaje mi się,

Że cię znam, Pani, i tego tu męża;

A jednak wąpię, bom zgoła nie świadom,

Co to za miejsce i cały mój rozum

Nie może sobie przypomnieć tych sukien.

Nie mogę sobie podobnież zdać sprawy,

Gdziem tę noc spędził. Nie śmieście się ze mnie,

Bo na pocziwość, jako żyw tu stoję,

Ta Pani zdaje mi się mojem dzieckiem,

Moją Kordelią.

Kordelia. Jestem nią też, jestem.

Król Lir. Sąli wilgotne twe łzy? Tak, zaiste.

Proszę cię, nie płacz. Jeżeli masz dla mnie

Jaką truciznę, chętnie ją wypiję,

Ty mnie nie kochasz, wiem; bo twoje siostry,

Ile pamiętam, złemi były dla mnie.

O, ty masz powód, one go nie miały.

Kordelia. Nie mam go, nie mam.

Król Lir. Jestem ja we Francyi?

Kordelia. W własnem królestwie swoim.

Król Lir. Czy być może?

O, nie oszukuj mnie.

Doktor. Pociesz się, Pani.

Owo szaleństwo wielkie jest, jak widzisz,

Już usunięte; nie byłoby jednak

Bezpiecznie teraz objaśniać mu przeszłość.

Namów go, Pani, by wszedł do namiotu;

Nie przerywajmy mu tak potrzebnego

Spoczynku, póki lepiej się nie wzmoże.

Kordelia. Może się Wasza Królewska Mość przejdzie.

Król Lir. Wybacz mi, proszę, bądź wyrozumiałą;

Zapomnij: jestem niedołączny starzec.

(Wychodzi z Kordelią, za nimi doktor i służba).

Dworzanin. Czy się to sprawdza, że księżę Kornwalii

Tak marnie zginął?

Kent. Z największą pewnością.

Dworzanin. Któż jego wojska prowadzi?

Kent. Podobno

Ów syn Glostera z nieprawego łoża.

Dworzanin. Mówią, że jego syn wygnany, Edgar,

Jest w Niemczech z hrabią Kentem.

Kent. Ta wiadomość

Może być błędną. Czas nam się obejrzeć:

Wojska księżęce postępują naprzód.

Dworzanin. Będzie to krwawa bitwa. — Bądźcie zdrowi.

(Wychodzi).

Kent. A w miarę tego, jak los ją rozstrzygnie,

Szala mej doli schyli się lub dźwignie. (Wychodzi).

AKT PIĄTY.

SCENA I.

Obóz brytański w pobliżności Dowru.

(Przy odgłosie kottłów, z chorągwiemi wchodzi: Edmund,
Regana, rotmistrze i żołnierze).

Edmund (do jednego z rotmistrzów). Idź waćpan spytać
[księcia, czy trwa stale

Przy ostatecznie umówionych planach,

Czy też, zagnany okolicznościami,
Odstąpił od nich, bo jest spreczny z sobą
I wahający się. Staraj się waćpan
Stanowczą o tem przynieść nam wiadomość.
(*Wychodzi rotmistrz*).

Regana. Posłańca naszej siostry spotkał pewnie
Jakiś przypadek.

Edmund. Ani wątpić, Pani.

Regana. Znasz, hrabio, moje uczucie dla ciebie:
Powiedz mi tylko otwarcie, rzetelnie,
Czy kochasz moją siostrę?

Edmund. Jak przystoi
Wiernemu słudze.

Regana. Lecz czyś nigdy do niej
Nie znalazł drogi dozwolonej tylko
Memu szwagrowi?

Edmund. Co za myśl!

Regana. Wieść chodzi,
Żeście wy z sobą w stosunkach tak ścisłych
I poufałych, jak tylko być można.

Edmund. To fałsz, honorem ci ręczę, Miledy.

Regana. Tegobym nigdy nie zniosła. Pamiętaj,
Kochany hrabio, nie zbliżać się do niej.

Edmund. Oddal, o Pani, tę myśl raz na zawsze —
Otóż i ona, z księciem swym małżonkiem.
(*Wchodzi: ks. Albanii, Goneryla i żołnierze*).

Goneryla (*do siebie*). Nimby ta siostra miała mi go wydrzeć,
Prędejbym przegrać wołała tę bitwę.

Ks. Albanii. Witaj nam, luba siostro. — (*Do Edmunda*).
[Mówią, Pani,

Że król znajduje się w obozie córki
Z innymi, których ostrość naszych rządów
Zraziła. Nigdy nie byłem walecznym,
Gdzie być nie mogłem ucziwym. Dobyłem
Oreż przeciwko Francuzom dlatego,
Że naszli nasze ziemie, nie dlatego,
Że dłoń przyjazną podają królowi
I innym, których bodaj czy niesłuszna
Uzbraja przeciw nam sprawa.

Edmund. Milordzie,
Szlachetnie mówisz.

Regana. Na co tu ten rozbiór?

Goneryla. Myślmy, jak stawić czoło najeźdźnikom;

O tych domowych, prywatnych niechęciach,
Nie pora mówić teraz.

Ks. Albanii. Zasięgnijmyż
Nasamprzód rady starych wojowników,
Jakiby obrać tryb działań.

Edmund. Za chwilę
Będę w namiocie Waszych Wysokości.

Regana. Siostro, wszak idziesz z nami?

Goneryla. Nie.

Regana. Pójdź, proszę;
Wypada, abyś była z nami razem.

Goneryla (*do siebie*). Aha, wiem, o co idzie. — (*Głośno*).
[Dobrze, pójdę.

(*Edgar przebrany wchodzi*).

Edgar (*do ks. Albanii*). Nie pogardzacie li, Pani, rozmową
Z biednym człowiekiem, to mię wysłuchajcie.

Ks. Albanii (*do odchodzących*). Zaraz ja przyjdę. — (*Do*
[*Edgara*]). Mów.

(*Edmund, Regana, Goneryla, rotmistrze i żołnierze wychodzą*).
Edgar. Rozpieczętujcie

Ten list przed bitwą; jeśli zwyciężycie,
Kaźcie oddawcę jego trąbą przyzwać.
Choć moja postać gminna i nikczemna,
Mogę jednakże stawić zapaśnika,
Zdolnego stwierdzić to, co tu podane.
Jeśli przegracie, Pani, rola Wasza
Na tym tu świecie skończy się tem samem
I usną wszelkie knowania. Bogdajby
Fortuna chciała was kochać!

Ks. Albanii. Zaczekaj,
Aż list przeczytam.

Edgar. Nie wolno mi, Pani.
Gdy przyjdzie pora, kaźcie heroldowi
Ozwać się tylko, a wnet się ukażę.

Ks. Albanii. Dobrze więc, bywaj zdrów, przejrze to pismo.
(*Edgar wychodzi. — Edmund powraca*).

Edmund. Już nieprzyjaciół przed nami: milordzie,
Spraw swoje wojsko. Oto obliczenie
Ich sił, z dokładnych powzięte wywiadów;
Ale na waszym pośpiechu, milordzie,
Wiele zależy.

Ks. Albanii. Będę na czas gotów.
(*Wychodzi*).

Edmund. Obudwu siostrom zaprzysięgłem miłość;
Jedna nie cierpi drugiej, jako żmii
Nie cierpi, kto był ukaszony przez nią.
Któraż z nich wezmę? Obiedwie? czy jedną?
Czy żadnej? Żadnej posiadaćbym nie mógł,
Jeśliby obie żyły. Wziąwszy wdowę,
W wściekłośćbym tamtą wprawił, a przy tamtej
Z trudnościami mi przyszło dojść do celu,
Dopóki mąż jej przy życiu zostaje.
Użyjmyż jego plec w bitwie, a potem
Niech ta, któraby rada go się pozbyć,
Sama pomyśli o tem. Co się tyczy
Ułaskawienia Lira i Kordelii,
Które on sobie ułożył, nic z tego.
Jeżeli bitwę wygramy i oni
Wpadną w moc naszą, w niwecz ja obrócę
Ten piękny projekt. W położeniu mojem
Biernym być zgubnie, trzeba iść przebojem.
(Wychodzi).

SCENA II.

Pole pomiędzy dwoma obozami.

(Wrzawa wojenna za sceną. Przy odgłosie bębnow, z chorągwiami przechodzą przez scenę: król Lir, Kordelia i żołnierze. Wchodzą: Edgar i Gloster).

Edgar. Usiądź tu, ojczy; to cieniste drzewo
Gościnną strzechę ci zastąpi; módl się
Za tryumf dobrej sprawy. Jeśli wrócę,
Przyniosę ci pociechę.

Gloster. Niech ci, bracie,
Błogosławieństwo niebios towarzyszy!
(Edgar wchodzi. — Wrzawa wojenna. Sygnały do odwrotu. — Edgar powraca).

Edgar. Uchodźmy, starcze! daj rękę! uchodźmy!
Lir zwyciężony i w niewolę wzięty
Wraz z córką. Idźmy, idźmy.

Gloster. Po co szukać
Innego miejsca? Wszak i tu zgnić można?

Edgar. Znów czarne myśli? Nie od nas zależy
Nasz koniec, tak jak przyjdzie nasze na świat:

Jak do tamtego być trzeba dojrzałym,
Tak i do tego. Idźmy.

Gloster. I to prawda.
(Wychodzą).

SCENA III.

Brytański obóz w pobliżności Dowru.

(Wchodzą: Edmund, jako zwycięzca, przy odgłosie kottów z chorągwiami, król Lir i Kordelia, jako jeńcy; rotmistrze i żołnierze).

Edmund. Kilku rotmistrzów niech ich odprowadzi,
Trzymać ich pod jak najściślejszą strażą,
Póki nie będzie oznajmiony wyrok
Tych, co ich sądzić mają.

Kordelia. Nie mnie pierwszej
Przyszło w złe popaść, przy chęci najszczerzej
Zrobienia dobrze. Twój to los, o królu,
Boli mię; własny zniosłabym bez bólu.
Nie zobaczymyż tych dwóch sióstr, tych córek?

Król Lir. Nie, nie, nie! Precz! precz! Idźmy do więzienia.
Będziem tam sobie śpiewali we dwoje,
Jak ptaki w klatce. Gdy mię ty poprosisz
O udzielenie ci błogosławieństwa,
Ja klękę wtedy i prosić cię będę
O przebaczenie. Tak sobie żyć będziem,
Modlić się, śpiewać, pleść stare powieści,
Śmiać się do złotych motylów i słuchać,
Jak prostaczkowie opowiadać będą,
Co się u dworu dzieje, kto wygrywa,
Kto traci, kto jest w łasce, kto w niełasce.
Będziem też i my gawędzić z nimi
I w pogadance tej przybierać minę
Tak tajemniczą, jak żebyśmy byli
Powiernikami bogów. Tym sposobem
Odosobnieni, za murem i kratą,
Przetrwamy dole i niedole wielkich,
Które się ciągle zmieniają, jak przypływ
I odpływ morza.

Edmund. Precz ich wyprowadzić!

Król Lir. Na takie, jak my, ofiary, Kordelio,

Bogowie śpią kadzidła. Mam ciebie!
Ktoby rozdzielić nas chciał, tenby musiał
Wziąć chyba z nieba głównię, i tą głównią
Podkurzyć nas jak lisy. Otrzyj oczy!
Niech im zaraza prędzej skanceruje
Skórę i ciało, niż łzy nasze ujrzą!
Niech wprzód zmarnieją! — Pójdź!

(Król Lir i Kordelia wychodzą pod strażą).

Edmund. Zbliź się, rotmistrzu.

Weź ten skrypt, idź za nimi do więzienia.
Jużem o stopień wyżej cię posunął;
Jeżeli zrobisz to, co tu wskazane,
Do wyższych sobie przez to utorujesz
Zaszczytów drogę. Wiedz o tem, że człowiek
Jest niewolnikiem czasu: nie przystoi
Mieczowi tkliwość. Nad tem, com ci zlecił,
Niema co dyskutować; albo powiedz:
Zrobię to, albo szukaj sobie szczęścia
Na innej drodze.

Rotmistrz. Zrobię to, milordzie.

Edmund. Działaj więc i bądź szczęsnym, gdy to zdziałasz.

Ale pamiętaj — jak najprędzej; zresztą
Wykonaj wszystko tak, jak napisałem.

Rotmistrz. Nie mogę wozu ciągnąć, ni jeść owsa,

Ale co w mocy ludzkiej, to wykonam.

(Wychodzi. — Odgłos trąb. Wchodzą: Ks. Albanii, Goneryla, Regana, rotmistrze i żołnierze).

Ks. Albanii. Daliście, Panie, świetny dowód męstwa
I szczęście Wam sprzyjało. W naszych rękach
Są ci, co głównie byli sprężynami
Dzisiejszej walki; żądamy ich od was
Dla postąpienia z nimi, jak nam każe
Postąpić wzgląd na bezpieczeństwo nasze
I ich zasługę.

Edmund. Uważałem, Panie,
Za rzecz stosowną usunąć z przed oczu
I pod zamknięciem umieścić starego,
Biednego króla; wiek jego i tytuł
Ma w sobie urok, zdolen serca ludu
Zwrócić ku niemu, a przeciw nam lance,
Któreśmy zwerbowali. Z nim posłałem,
Dla tychże samych powodów, królowę:
Są oni wszakże w pogotowiu stanąć,

Jutro lub później, tam, gdzie posiedzenie
Zechcecie odbyć. Krew z nas ciecze teraz
I pot; przyjaciel płacze przyjaciela,
I najlepszemu wypadkowi bitwy
Klnie ten, co ciosów jej doświadczył. Kwestya
Kordelii i jej ojca sposobniejszej
Wymaga chwili.

Ks. Albanii. Wybaczcie mi, Panie:
Mam Was jedynie za sługę w tej wojnie,
A nie za brata.

Regana. To jeszcze zależy
Od tego, co my powiemy! Zda mi się,
Że się nas pierwiej godziło zapytać,
Przed tak stanowczem wyrzeczeniem tego.
On wojskiem naszym dowodził, on działał
Jako zastępca mój i reprezentant:
W tak bezpośredniem przeto położeniu
Mógłby się mienić naszym bratem.

Goneryla. Zwolna!

Nie tak gorąco! Własna jego wartość
Wyżej go stawia, niż tve wyniesienie.

Regana. Przeze mnie w moje prawa wprowadzony,
Nie ustępuje on najznakomitszym.

Ks. Albanii. Toby być mogło w najszcześniejszym razie,
Gdybyś z nim Pani była zaślubioną.

Regana. Z szyderców często bywają prorocy.

Goneryla. Hola! To oko pani zezowate,
Co się spodziewa to ujrzeć!

Regana. O, pani —
Czuję się jakoś słabą; gdyby nie to,
Odpowiedziałabym dosadniej. — Hrabio,
Oddaję wojsko me, jeńców i mienie:
Rozrządzaj wszystkim mojem i mną samą.
Niech wie świat, że cię uznaję za pana
I za małżonka.

Goneryla. Myślisz go posiadać?

Ks. Albanii. Nie pani dobra chęć przeszkodzi temu.

Edmund. Ani też twoja, panie.

Ks. Albanii. Moja właśnie,
Podły mieszańcze.

Regana (do Edmunda). Każ uderzyć w trąby.
I poprzyj moje prawa jako swoje.

Ks. Albanii. Czekaście! Parę słów tylko. — Edmundzie

Aresztujemy cię za zdradę stanu,
A z tobą tego węża w złotej łusce. —

(*Wskazuje na Gonerylę*).

Co się zaś tyczy twojego zamiaru,
Nadobna siostrze, kładziemy nań *veto*,
W imieniu naszej żony; ona bowiem
Wprzód już z tym lordem była zaręczoną,
A my, jej mężem będąc, musimy bronić
Jej interesu. Pragniesz li zamęścia,
To weź mnie, pani; jam wolny: — ta dama
Już zamówiona.

Goneryla. Co za śmieszna farsa!

Ks. Albanii. Masz waćpan oręż. — Niech w trąby uderzą!

Nie stawi li się nikt, aby ci dowieść
Ohydnej, jawnej i przeróżnej zdrady.
Oto mój zakład. — (*Rzuca rękawicę*). Nie wprzód tknę
[się chleba,

Aż ci wykażę z tym mieczem na sercu,
Że jesteś takim, jakim cię ogłaszam.

Regana. Słabo mi! słabo mi!

Goneryla (*na stronie*). Wierzę, inaczej

Nie ufałabym żadnemu lekarstwu.

Edmund. Oto nawzajem mój zakład. — (*Rzuca rękawicę*).
[Ktokolwiek

Mieni mię zdrajcą, ten kłamie bezczelnie.
Niech zagrzmią trąby! Ktobądź się ośmieli
Wystąpić, przeciw temu gotów będę
Bronić honoru mojego i sławy,
Aż do ostatniej kropli krwi.

Ks. Albanii. Herolda!

Edmund. Herolda przyzwać!

Ks. Albanii. Licz na własne siły.

Żołnierze twoi, których zwerbowano
W moim imieniu, w moim też imieniu
Dostali rozkaz wrócenia do domów.

Regana. Coraz mi gorzej, och! och!

Ks. Albanii. Jej niedobrze,

Odprowadźcie ją do mego namiotu.

(*Regana zostaje wyprowadzoną. — Wchodzi herold*).

Zbliż się, heroldzie — przeczytaj to pismo,

A potem zatrąb.

Herold (*czyta*). »Jeżeli jest jaki rycerz szlacheckiego rodu
lub stopnia, coby Edmundowi, przypuszczalnemu hra-

biemu Gloster, w oczy śmiał zarzucić, że jest wielo-
licznym zdrajcą, niech się ukaże za trzecim odgłosem
trąby. W mowie będący Edmund gotów jest przyjąć
walkę w swej obronie«.

Ks. Albanii. Zatrąb!

(*Herold trąbi pierwszy raz*).

Ks. Albanii. Jeszcze!

(*Herold trąbi drugi raz*).

Ks. Albanii. Jeszcze!

(*Herold trąbi trzeci raz*).

(*Trąba odpowiada z za sceny. — Edgar wchodzi uzbrojony;
przed nim trębacz*).

Ks. Albanii. Spytaj go, czego chce, po co się stawia
Na ten głos trąby?

Herold. Kto jesteś, rycerzu?

Jakie twe miano? Jaki stan i po co
Stajesz tu na to hasło?

Edgar. Miano moje,

Od raka zdrady stoczone, przeżarte
Zębem niecnoty, zatartem zostało,
Alem szlacheckiej krwi, jak ten przeciwnik,
Z którym mam walczyć.

Ks. Albanii. Któż jest ten przeciwnik?

Edgar. Kto się tu stawia w obronie Edmunda,
Hrabiego Gloster?

Edmund. On sam, cóż mu powiesz?

Edgar. Dobądź oręża, aby cię dłoń twoja
Mogła oczyścić, jeśli moja mowa
Skrzywdzi szlacheckie serce — tu jest moje.
W imię praw moich, mojego honoru,
Mojej przysięgi, bez względu na twoją
Siłę i młodość, stopień i znaczenie,
Na twój zwycięski miecz i świeże szczęście,
Na twoje męstwo i waleczność, twierdzę,
Że jesteś zdrajcą, wiarołomnym bogom,
Bratu i ojcu, sprzysięgłym na życie
Tego wysoko dostojnego księcia,
Słowem, od czubka głowy do ostatnich
Kończyn podeszwy, najprzeniewierniejszym,
Wierutnym zdrajcą. Zaprzeczysz li temu,
Ten miecz, to ramię, wszystkie siły moje
Gotowe stwierdzić to kosztem krwi twojej
I dowieść ci, że kłamiesz.

Edmund. Ściśle biorąc,
Wprzódbym powinien wiedzieć, jak się zowiesz;
Ponieważ jednak twoja powierzchowność
Tak jest rycerską i niepospolitą,
I mowa twoja zdradza ród szlachetny,
Pogardzam przeto formą wymaganą
W tego rodzaju spotkaniach, przy której
Roztropnośoby mi radziła obstawać.
W oczy odbijam ci twój zarzut zdrady,
Jako piekielny fałsz, który zaledwie
Drasnął mię a nie zranił, a któremu
Ten mój miecz zaraz utoruje drogę
Tam, gdzie na wieki spocznie. — Niech zatrąbią!
(*Odgłos trąb. Walczą. Edmund pada.*)
Goneryla. Ratujcie go! ratujcie! — (*Do Edmunda*). To był
[podstęp,
Podstęp, Glosterze. Według praw rycerskich,
Nie byłeś wcale w obowiązku walczyć
Z nieznanym przeciwnikiem. Oszukany,
Nie pokonany zostałeś.
Ks. Albanii. Milcz, Pani,
Albo ci usta zatkam tym papierem. —
(*Do Edmunda, pokazując mu list Goneryli.*)
Patrz, mości panie. — (*Do Goneryli*). Poczwaro, prze-
[czytaj
Ten jawny dowód twojej nieprawości. —
(*Oddaje jej list.*)
Nie drzyj go; znasz to jejmość, jak uważam.
Goneryla. Choćby tak było, ja tu jestem panią,
Nie ty, nikt nie ma prawa mię pociągać
Do tłómaczenia.
Ks. Albanii. Nędzna! a więc znasz to?
Goneryla. Nie pytaj mnie, co znam.
(*Wychodzi.*)
Ks. Albanii (*do jednego z rotmistrzów*). Idź waćpan za nią:
Jest zrozpaczoną, daj na nią baczenie.
(*Rotmistrz wychodzi.*)
Edmund. Jam to uczynił, o co mię oskarżasz
I więcej, znacznie więcej; czas pokaże:
Już on się dla mnie kończy. Ale ktoś ty,
Coś mi tak przeciął przyszłość? Jeśliś szlachcic,
To ci przebaczę.
Edgar (*podnosząc przyłbicę*). Użalmy się wzajem.

Jestem tak dobrej krwi, jak ty, Edmundzie;
Jeśli zaś moja lepszą jest od twojej,
Tem gorzej sobie postąpiłeś ze mną,
Moje nazwisko Edgar; jestem synem
Twojego ojca. Nieba sprawiedliwe;
Z słodkich występków naszych czynią one
Narzędzie naszej chłosty: owo ciemne,
Pokątne miejsce, w którym on cię spłodził,
Doprowadziło go do ociemnienia.
Edmund. O, prawdę, prawdę mówisz! — Koło losu
Bieg swój odbyło spełna; ja tu leżę.
Ks. Albanii. Po chodzie jużem domyślał się twojej
Zacności rodu. Pozwól się uścisnąć.
Niech brzemień cierpień przygniecie mi serce,
Jeżeli kiedy źle życzyłem tobie
I twemu ojcu.
Edgar. Wiem o tem, cny książę.
Ks. Albanii. Ale gdzieżes to dotąd się ukrywał?
Skąd wiesz o ojca nieszczęściu?
Edgar. Stąd, Panie,
Żem go w nieszczęściu pielęgnował. Zdam Wam
W krótkości sprawę z moich przejść i jego —
Bogdajby potem pękło serce moje! —
Aby ujść skutku krwawych listów gończych,
Wysłanych za mną — o, ileż słodczy
Ma dla nas życie, gdy wolimy w mękach
Mrzeć co godzina, niż umrzeć odrazu! —
Przywdziałem na się łachmany waryata,
Przybrałem postać taką, że psy nawet
Z wzdargą patrzyły na mnie. W takim stanie
Spotkałem ojca mojego, z owymi
Krwia zbuczonymi pierścieniami, z których
Świeżo szlachetne wyrwano kamienie.
Zostałem odtąd jego przewodnikiem,
Byłem z nim ciągle, zebrałem dla niego
I wstrzymywałem go od samobójstwa.
Nie dałem mu się poznać (o, dlaczegoż!),
Dopiero teraz, kiedym już był zbrojny,
Przed pół godziną. Niepewny zwycięstwa,
Jakkolwiek pełen najlepszej otuchy,
Prosiłem, aby mię pobłogosławił,
I od samego początku do końca
Opowiedziałem mu swoje tułactwo.

Ale, niestety! znękany duch jego,
Za słaby, aby mógł znieść bieg tak nagły
Dwóch sprzecznych uczuć, bólu i radości,
Uśmiech na jego ustach zostawiając,
Uleciał.

Edmund. Mowa twoja mię wzruszyła,
Skutki jej mogą być dobre, mów dalej.
Masz, zda się, jeszcze coś do powiedzenia.

Ks. Albanii. Masz li coś więcej jeszcze tak smutnego,
To zamilcz, bo ja sam, słuchając tego,
Zaczynam mięknąć.

Edgar. Toby się zdawało
Dla nielubiących smutku dostatecznym,
Lecz był ktoś, który to wiele powiększył
O wiele więcej jeszcze i posunął
Tę ostateczność do ostateczności.
Gdy żal wydobył głośny jęk z mej piersi,
Wtedy przystąpił do mnie pewien człowiek,
Który mię widział był w mej ciężkiej nędzy
I z wstrętem stronił od mego widoku,
Ale w tej chwili poznawszy, kto jestem,
I przypomniawszy sobie, com wycierpiał,
Silnem ramieniem objął mię za szyję
I zawył, jakby chciał rozsadzić niebo.
Rzucił się potem na mojego ojca.
A potem jął się opowiadać dzieje
Lira i jego, z których okropnością
Nic się znanego porównać nie może;
A gdy to opowiadał, boleść jego
Rosła tak, że się struny jego życia
Pękać zdawały. Zatrąbiono wtedy,
I pozostawić go musiałem prawie
Bez przytomności.

Ks. Albanii. Któż to był?

Edgar. Kent, Panie,
Ów to wygnany Kent, który w przebraniu
Nie odstępował króla, swego wroga,
Pełniąc posługi, jakichby się nie chciał
Podjąć niewolnik.

(Jeden z dworzan wbiega z zakrwawionym nożem).

Dworzanin. Na pomoc! na pomoc!

Edgar. Komu na pomoc?

Ks. Albanii. Mów.

Edgar. Cóż ten nóż znaczy?

Dworzanin. Gorący on, dymiący się krwią świeżą:
Tylko co wyszedł z serca — już jej niema!

Ks. Albanii. Kogo? mów.

Dworzanin. Waszej małżonki, Milordzie:
Zamordowała się. Jej siostra przez nią
Padła otruta; sama to wyznała.

Edmund. Z obiema byłem zaślubiony, teraz
Wszystkich nas troje łączy jedna chwila.

Ks. Albanii. Niech je przyniosą żywe czy nieżywe.
(Dworzanin wychodzi).

Ta kara niebios drzeniem nas przejmując,
Litości w nas nie budzi.

(Wchodzi Kent).

Edgar. Oto i Kent.

Czas nie pozwala cię powitać, panie,
Jakby przystało.

Kent. Przyszedłem powiedzieć
Mojemu Panu dobranoc na zawsze.
Czy go tu nie ma?

Ks. Albanii. Ha! jakżeśmy mogli
Zapomnieć o czemś tak ważnym!
Edmundzie, powiedz, gdzie król, gdzie Kordelia?
(Służba wnosi ciała Goneryli i Regany).

Patrz, Kencie, na to widowisko.

Kent. Nieba!

Czemuż tak?

Edmund. Edmund był kochany jednak:
Dla mnie otruła jedna drugą, poczem
Zabiła siebie.

Ks. Albanii. Zakryjcie ich twarze.

Edmund. Pragnę żyć — pragnę zrobić co dobrego,
Wbrew mej naturze. Poślijcie czempredzej,
Na zamek — tylko zaraz, bo mój rozkaz
Zagraża życiu Lira i Kordelii.
Nie ociągajcie się.

Ks. Albanii. Śpieszcie, o, śpieszcie!

Edgar. Do kogo, Panie? (Do Edm.). Któż otrzymał rozkaz?
Poślij co na znak odwołania.

Edmund. Dobrze,
Że ci to na myśl przyszło: oto miecz mój;
Idź z nim i oddaj go oficerowi,
Co ma straż przy nich.

Ks. Albanii. Śpiesz, na miłość bogów!
(Edgar wychodzi).

Edmund. On ma od twojej żony i ode mnie
Rozkaz powiesić Kordelię w więzieniu
I zwalić potem winę na jej rozpacz,
Jakoby sama sobie śmierć zadała.

Ks. Albanii. Bogowie, strzeżcie ją! Wynieść go na bok.
(Żołnierze wnoszą Edmunda za scenę. — Wchodzi król Lir,
trzymając w objęciach martwą Kordelię; za nim Edgar, rot-
mistrze i inni).

Król Lir. Jęcz, jęcz, jęcz, świecie! — O, wy wszyscy z głazu!
Gdybym miał wasze oczy, wasze usta,
Wstrząsnąłbym niebiosą mym jękiem. Już po niej!
Po niej, na zawsze! Umiem ją rozpoznać,
Kto żyje, a kto trup: z niej już trup tylko.
Może się myłę. Podajcie zwierciadło:
Jeśli jej oddech na jego powierzchni
Zostawi jaki ślad, to jeszcze żyje.

Kent. Jestże to koniec świata?

Edgar. Albo obraz

Ks. Albanii. Równiej mu zgrozy?
Wszzechprzemiany w nicość?

Król Lir. Poruszyło się piórko: jeszcze żyje!
Jeżeli żyje, szczęście to umorzy
Wszystkie niedole, jakie wycierpiałem.

Kent (kłękając). Drogi, kochany Panie!

Król Lir. Odstąp! odstąp!

Edgar. To Kent, szlachetny wasz przyjaciel, Panie.

Król Lir. Precz! precz! Przekleństwo wam, zdrajcy, mordercy!
Wszyscyście tacy. Mogłem ją ocalić;
Teraz po wszystkim! Kordelio! Kordelio!
Zaczekaj trochę. Ha! Co mówisz? Głos jej
Był zawsze słodki, łagodny i cichy,
Nieoceniona rzecz w kobiecie! Nędznik,
Co cię powiesił, zginął z mojej ręki.

Jeden z rotmistrzów. W istocie, on go zabił, Milordowie.

Król Lir. Nie prawdęż mówię? Był czas, gdy na widok
Tego bułata dobytego z pochwy
Truchlano: terazem stary, złamany
Tylolicznymi ciosy. Kto ty jesteś?

Kent. Wzrok mi się popsuł, czekaj, zaraz powiem.
Kent. Jeśli fortuna pyszną jest z dwóch ludzi,

Których kochała i nienawidziła,
Jednego z nich tu widzimy.

Król Lir. Jak tu ciemno!

Czyś ty Kent?

Kent. Jestem Kent, twój sługa, Panie;
A gdzie twój sługa Kajus?

Król Lir. Był to walny,
Pocziwy chłopak, możecie mi wierzyć,
Miał krzepką rękę. Zmarł on i zgnął.

Kent. Żyje,

Kochany Panie, jam jest tym człowiekiem.

Król Lir. Zaraz zobaczę.

Kent. Który od początku
Twego upadku nie przestawał dzielić
Smutnych koleji twoich.

Król Lir. Bądź pozdrowion!

Kent. Nikt inny. Zewsząd śmierć, ciemność i próżnia.
Starsze twe córki same się zgładziły
I zmarły śmiercią gwałtowną.

Król Lir. Tak myślę.

Ks. Albanii. Nie wie, co mówi; próżnobyśmy teraz
Dawali mu się poznać.

Edgar. Nadaremnie.

(Wchodzi jeden z rotmistrzów).

Rotmistrz. Milordzie, Edmund, hrabia Gloster, skołał.

Ks. Albanii. To rzecz podrzędna. Szlachetni lordowie
I przyjaciele, słuchajcie naszego
Postanowienia. Niech wszelka pociecha,
Jaką dać można, zapewnioną będzie
Tej nieszczęśliwej ruinie wielkości.
Co się nas tyczy, zrzekamy się ninie
Najwyższej władzy na rzecz tego starca,
Póki żyć będzie.

(Do Kenta i Edgara).

Wy dwaj, milordowie,
Kencie, Glosterze, wejdźcie w wasze prawa,
Których przewyżka będzie odpowiednią
Waszej zasłudze. Niech każdy przyjaciel
Cnót swych dank znajdzie, każdy nieprzyjaciel
Kielich goryczy. Ależ patrzcie, patrzcie.

Król Lir. Ani iskiereki życia! ani zipnie!
Pies, koń, mysz może żyć, a ty i tchnienia
Wydać nie możesz! O, ty już nie wrócisz,

Nigdy nie wrócisz, nigdy, nigdy, nigdy!
Bądźcie tak dobrzy, rozpiąć mię. Dziękuję.
O, patrzcie! patrzcie na nią! na te usta
Patrzcie! o, patrzcie!

(Umiera).

Edgar. Mdleje. O, mój królu!

Kent. Pękni, przez litość, pękni, serce moje!

Edgar. Spójrzyj, mój królu!

Kent. Przestań, niech duch jego

Wzleci swobodnie! Byłby jego wrogiem,

Ktoby go dłużej na torturach świata

Chciał zatrzymać.

Edgar. Umarł, rzeczywiście.

Kent. To dziw, że dotrwał do tej chwili; żył on

Od dawna tylko przywłaszczonem życiem.

Ks. Albanii. Weźcie te ciała. Ogólna żałoba

Tłumi w nas wszelką myśl. Wy oba,

(Do Edgara i Kenta).

Drogi Edgarze i Kencie kochany,

Rządźcie i państwa zagajajcie rany.

Kent. Ja się niebawem muszę wybrać w drogę;

Mój pan mię woła, odmówić nie mogę.

Edgar. Nie traćmy serca w tej dotkliwej próbie,

Czując, co czuję, czyńmy, co na dobre.

Ten z nas najstarszy zniósł najwięcej ciosów:

My nie dożyjemy równych lat i losów.

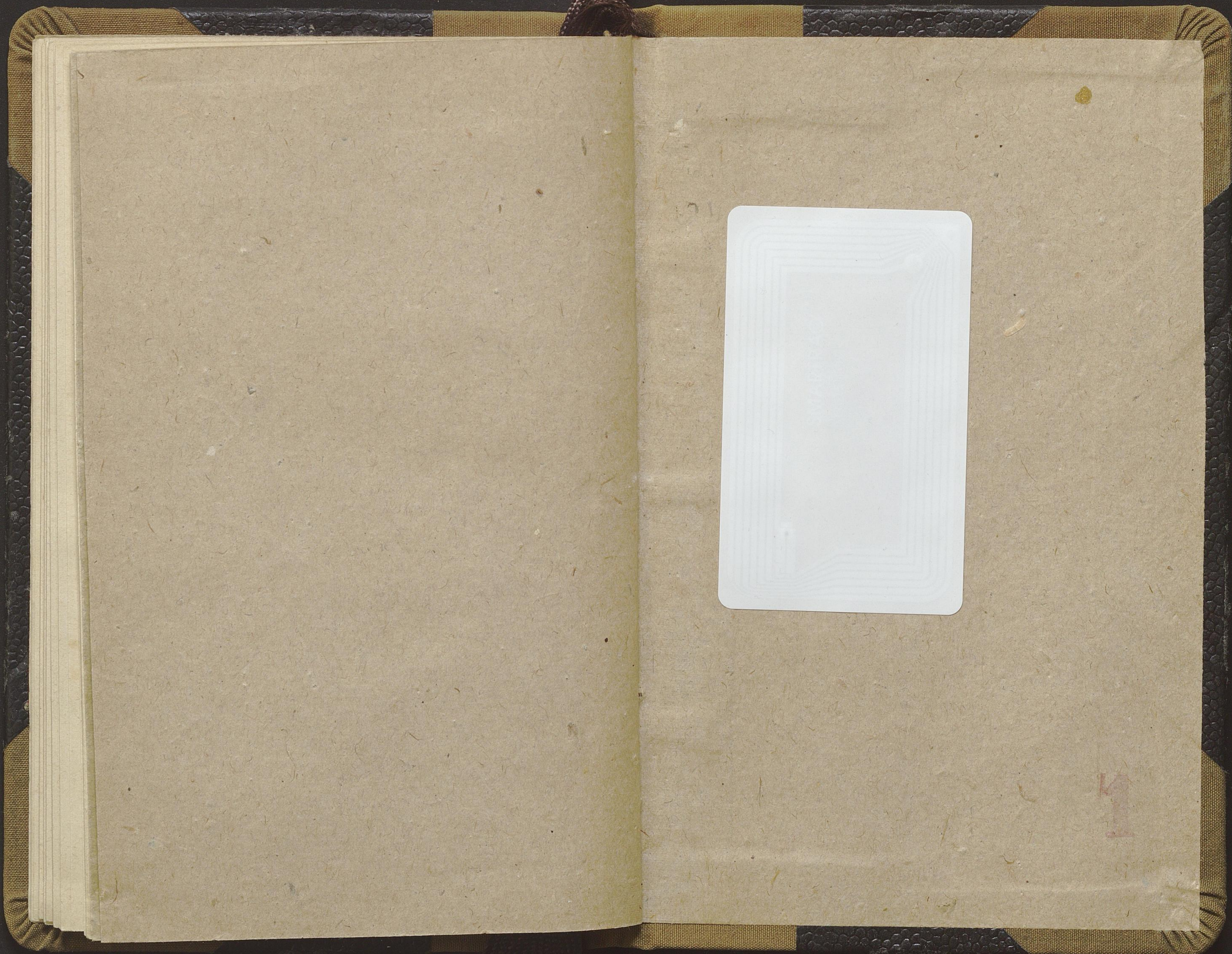
(Wychodzą. Muzyka odgrywa marsza pogrzebowego).



	hal.	kop.
65. Sieroszewski W. Kulisi	26	10
66. — W ofierze bogom	20	8
67. — Bokser (Uang-Ming Tse)	16	6
68. Kaczkowski Z. Bitwa o chorążanke	26	10
69. Prus B. Cienie. Z legend dawnego Egiptu. W górach	16	6
70. Konopnicka M. Wojciech Zapala	13	5
71. — W Winiarskim forcie	13	5
72. — Urbanowa	13	5
73. — Miłosierdzie gminy	20	8
74. Lenartowicz T. Wybór poezyi	20	8
75. Kondratowicz L. (Wł. Syrokomla). Wybór poezyi	26	10
76. — Janko Cmentarnik	16	6
77. Hoffmanowa Klem. Dziennik Franciszki Krasieńskiej	50	20
78. — Listy Elżbiety Rzeczyckiej	40	15
79. Czerneda M. (Bierzyński). Nieplakany	16	6
80. — Kancelista	16	6
81. Kraszewski J. I. Żywot i przygody imci Pana Józefa z Gozda, Hrabi Gozdzińskiego. Pan starosta Kaniowski	26	10
82. — Jak się dawniej listy pisały	16	6
83. — Psiarek	16	6
84. Wilczyński Ad. Przykładna kara	16	6
85. Chodźko Ign. Samowar	16	6
86. — Domek mojego dziadka. Śmierć mojego dziadka	26	10
87. — Boruny	26	10
88. Górski K. M. Biblioman	16	6
89. Lenartowicz T. Zachwycenie	10	4
90. Korzeniowski J. Karpaccy górale	26	10
91. Kondratowicz L. (Wł. Syrokomla). Ulas	20	8
92. — Kęs chleba	20	8
93. — Jan Dęboróg	26	10
94. — Trezłowe. — Spowiedź pana Korsaka	26	10
95. — Wielki czwartek	20	8
96. Asnyk Adam. Wybór poezyi	20	8
97. Ujejski K. Wybór poezyi	20	8
98. Pol Wincenty. Pieśń o ziemi naszej	26	10
99. Wasilewski Edm. Wybór poezyi	16	6
100. Zaleski J. B. Wybór poezyi	32	12
101. Chrzanowski Ign. Za co powinniśmy kochać Pana Tadeusza	16	6
102. Krasicki Ign. Bajki i przypowieści. Wybór	20	8
103. Tetmajer K. Wybór poezyi	20	8
104. Kasprówic Jan. Wybór poezyi	32	12
105. Niemcewicz J. U. Wybór poezyi	32	12
106. Morawski-Dzierżykraj Fr. Bajki. Wybór	20	8
107. Romanowski M. Wybór poezyi	20	8
108. Brodziński K. Wybór poezyi	20	8
109. Pol W. Wybór poezyi	20	8
110. Żmichowska N. Wybór poezyi	26	10
111. Or-Ot. Wybór poezyi	26	10
112. Rodoć M. Satyry. Wybór	26	10
113. Morawski Fr. Wizyta w sąsiedztwo. Listy poetyckie	20	8
114. Zaleski B. Pieśni gęslarskie serbskie. — Car Łazarz, czyli Bój Kossowski	20	8
115. Zieliński Gustaw. Kirgiz	20	8
116. Pol Wincenty. Przygody młodości Imci Pana Benedykta Winnickiego I.	20	8
117. Orzeszkowa Eliza. Bracia	45	18

	hal.	
118. Orzeszkowa Eliza. Światło w ruinach	24	
119. Kubala L. dr. Mieszczanin polski z XVII w.		
120. — Obłężenie Lwowa w r. 1648	40	15
121. — Bitwa pod Beresteczkiem	32	12
122. — Obłężenie Zbaraża i pokój pod Zborowem	20	8
123. Szajnocha Karol. Wnuka króla Jana	32	12
124. — Barbara Radziwiłłówna	20	8
125. — Zdobycze pluga polskiego. — Brody Krzyżackie	16	6
126. — Zwycięstwo pod Lwowem w r. 1675. Trynitarze	32	12
127. Mickiewicz Adam. Ballady	20	8
128. — Bajki i powiastki	26	10
129. — Liryki. — Sonety Krymskie	20	8
130. Słowacki Jul. Ojciec zadżumionych. — W Szwajcaryi	26	10
131. — Jan Bielecki. — Arab. — Mnich	32	12
132. — Mindowe	26	10
133. — Złota czaszka	40	15
134. — Marya Stuart	20	8
135. Orzeszkowa E. Daleko. — Karyery	20	8
136. — Śmierć domu	26	10
137. — Dobra pani	26	10
138. — Panna Róża	20	8
139. Rodziewicz M. Rupiecie	20	8
140. — Kamienie. — Ciotka. — Wpisany do heroldyi	26	10
141. Konopnicka M. Z Liryk i obrazków	40	15
142. Niemcewicz J. U. Spiewy historyczne	16	6
143. Mickiewicz A. Sonety Krymskie. — Farys	26	10
144. Krasiński Z. Liryki. (Wybór)	16	6
145. Brodziński K. Wiesław	20	8
146. Kondratowicz L. Szkolne czasy	26	10
147. Słowacki J. Liryki. (Wybór)	26	10
148. Malczewski A. Marya	26	10
149. Fredro A. Pan Geldhab	50	20
150. — Zemsta za mur graniczny	50	20
151. — Sluby panięskie	40	15
152. Karpiński Fr. Wybór poezyi. Książnin D. Wybór poezyi	40	15
153. Korzeniowski J. Mnich. Tragedya	26	10
154. Krasicki I. Satyry i listy	26	10
155. Naruszewicz A. Satyry	40	15
156. Słowacki J. Książę Niezłomny	45	20
157. Schiller F. Wilhelm Tell	50	20
158. — Dziewica orleańska	50	20
159. Byron. Giaur	65	25
160. Schiller F. Marya Stuart	26	10
161. Byron. Manfred	20	8
162. — Wiezień Czylonu	32	12
163. Szymański A. Stolarz Kowalski	26	10
164. Słowacki J. Anelli	20	8
165. Krasiński Z. Przedświt	26	10
166. Mickiewicz A. Konrad Wallenrod	26	10
167. — Grażyna	50	20
168. Szekspir W. Sen nocy letniej	20	8
169. Świętochowski A. Hymn niemych. — Woty	40	15
170. Dynowska M. Obrazy z dziejów piśmiennictwa polskiego	72	30
171. Szekspir W. Hamlet	48	20
172. — Makbet	48	20
173. — Romeo i Julia	48	20

209-



442382

Mag.A

Książnica Podlaska

im. Ł. Górnickiego w Białymstoku



KP-BG-0444227